Nr. 12. Lwow, dnia 1. Grudnia 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W sprawie ustawy łowieckiej.

Uchwałą sejmu krajowego z d. 12. listopada br. zainicyowaną została zupełna reforma ustaw i rozporządzeń, tyczących się łowiectwa. Przebieg rzeczy jest następujący:

Uchwałą z d. 17. stycznia 1887. polecił sejm Wydziałowi krajowemu zbadać stosunki i potrzeby łowiectwa krajowego, poddać rewizyi obowiązujące w tym przedmiocie ustawy i przedłożyć odpowiednie wnioski na najbliższej sesyi sejmowej. Obowiązku tego dopełnił Wydział krajowy przedkładając sprawozdaniem z d. 4. listopada r. 1887. projekt ustawy łowieckiej, obejmujący całość przedmiotu, z uwzględnieniem wniosków posła Abrahamowicza o wprowadzeniu kart i certyfikatów myśliwskich.

Elaborat ten przydzielono komisyi administracyjnej Tymczasem c. k. Prezydyum namiestnictwa odezwą z d. 31. stycznia 1888. do l. 12.872 zakomunikowało Wydziałowi ogólne uwagi c. k. ministerstwa rolnictwa względem przedłożonego sejmowi projektu ustawy łowieckiej.

Pan minister, nie wdając się w rozpoznawanie szczegółów, oświadczył w ogóle, że nie uważa reformy obejmującej całe ustawodawstwo łowieckie, jaka zamierzoną została w projekcie przez Wydział krajowy sejmowi przedłożonym, ani za konieczną, ani za stosowną, wcale jednak nie zapoznawał tego, że poszczególne postanowienia obecnie obowiązujących przepisów łowieckich wymagają rozpatrzenia i ulepszenia. W skutek tego c. k. ministerstwo zamierzyło stopniowo wnosić do sejmów krajowych przedłożenia o zmianę poszczególnych przepisów łowieckich, podobnie jak to już uczyniło w r. 1886., wnosząc o zmianę niektórych postanowień prawnych co do wykonywania prawa polowania, a na podstawie którego to projektu rządowego została uchwaloną przez sejm pod d. 17. stycznia 1887. nowela, która nie otrzymała jednak najwyższej sankcyi.

„W takim stanie rzeczy — kończy Prezydyum namiestnictwa w pomienionej odezwie — odpowiadałoby to intencyom wysokiego c. k. ministerstwa rolnictwa, jeżeliby reprezentacya kraju na razie przynajmniej zaniechała uregulowania całego kompleksu postanowień o łowiectwie, do czego zmierza projekt ustawy przez świetny Wydział krajowy sejmowi przedłożony, a natomiast ograniczyła się do uregulowania wskazanych przez wysokie c. k. ministerstwo rolnictwa i przedewszystkiem pod rozwagę wziętych kwestyj prawnych, do których mogłaby być przyłączoną także kwestya wydania postanowień prawnych o kartach myśliwskich.

„Wypadałoby zatem w razie przychylenia się świetnego Wydziału krajowego do powyżej wskazanej opinii wysokiego c. k. ministerstwa rolnictwa na teraz — bez przesą-

dzania o późniejszych, inne kwestye obejmować mających ustawodawczych wnioskach i przedłożeniach — wnieść, względnie przygotować do sejmu krajowego projekty następujących ustaw specyalnych:

1. w sprawie objętej zeszłorocznem przedłożeniem rządowem zmiany niektórych postanowień prawnych o wykonywaniu prawa polowania;

2. o wynagradzaniu szkód z polowania wynikających i przez zwierzynę zrządzonych i

3. o kartach myśliwskich; — projekt zaś ogólnej ustawy łowieckiej albo zupełnie odłożyć, albo co do merytorycznej uchwały przynajmniej odroczyć."

Pan minister rolnictwa dołączył nawet odpisy projektów noweli do ustawy łowieckiej, przedłożonych sejmowi krajowemu w Karyntyi, w których uwzględniono obrady i uchwały I. austryackiego kongresu myśliwskiego, a które, zdaniem ministerstwa, mogłyby i naszemu sejmowi służyć za podstawę do uchwalenia postanowień o szkodach przez zwierzynę wyrządzanych.

Ponieważ w chwili przesłania Wydziałowi krajowemu pomienionej odezwy Prezydyum namiestnictwa, wiadomy projekt ustawy łowieckiej znajdował się w elaboracie komisyi administracyjnej sejmu, zatem Wydział krajowy odezwę pomienioną wraz z alegatami zakomunikował komisyi administracyjnej.

Lecz w komisyi administracyjnej nie została sprawa ustaw łowieckich załatwioną, a tymczasem skończyła się sesya sejmowa z r. 1888. i projekt ustawy łowieckiej wrócił napowrót do Wydziału krajowego.

W czasie tym zaszła wszakże, dzięki opinii, wydanej także przez inne sejmy i Wydziały, radykalna zmiana w zapatrywaniach ministerstwa. Wydział krajowy otrzymał od Prezydyum namiestnictwa odezwę z d. 7. października 1888. l. 10.626, w której czytamy co następuje:

„Wobec stanowiska, zajętego przez kilka sejmów i Wydziałów krajowych w kwestyach ustawodawstwa łowieckiego, JE. pan minister rolnictwa spostrzegł, że może nie wszystkie reprezentacye krajowe podzielają zapatrywania, wyrażone w powyższych kwestyach w reskrypcie ministeryalnym z dnia 11. grudnia r. 1887., względnie w odezwie tutejszej z dnia 31. stycznia b. r. l. 12.872, tj. zapatrywania, że zamiast wydawać ogólną ustawę łowiecką, należałoby dążyć do reformy obecnie obowiązujących przepisów o łowiectwie w drodze odpowiednich nowel. Wobec powyższego spostrzeżenia, JE. pan minister rolnictwa nie stawiałby już przeszkód dążeniu do reformy ustawodawstwa łowieckiego za pomocą nowej, jednolitej ustawy łowieckiej tam, gdzie dążenia takie stanowczo się objawią, a uchwalenie całego szeregu nowel nie jest zamierzone.

„Do takiego postępowania skłania JE. pana ministra szczególnie ta okoliczność, że przypuszczać musi, iż nawet tam, gdzie dążenie do wydania jednolitej ustawy łowieckiej przeważa, w rzeczywistości zamierzoną jest także tylko częściowa reforma ustawodawstwa, przyczem inne działy tylko pod względem formalnym zostałyby nowo skodyfikowane w jednolitej ustawie łowieckiej.

„Z powodu uchwał, powziętych w tej mierze w sejmie morawskim, JE. pan minister rolnictwa oznajmił już namiestnictwu morawskiemu powyższe zapatrywanie swoje, wyrażając przy tej sposobności na wypadek, gdyby morawski Wydział krajowy uważał za stosowne wniesienie projektu jednolitej ustawy łowieckiej, gotowość do zarządzenia opracowania takiego projektu ustawy i zawiązania w tej mierze rokowań z Wydziałem krajowym w tym celu, aby sejmowi morawskiemu mógł być przedłożony projekt, oparty na porozumieniu się rządu z Wydziałem krajowym. Podobna droga mogłaby być obrana ewentualnie także i w Galicyi, a to z uwzględnieniem projektu ustawy łowieckiej, wniesionego przez świetny Wydział krajowy na zeszłorocznej sesyi sejmowej, a to w takim razie, jeżeliby stwierdzonem zostało, że sejm krajowy nie jest skłonny do uchwalania pojedynczych nowel w kwestyach ustawodawstwa łowieckiego, lecz uważa za stosowne wydanie jednolitej ustawy łowieckiej."

W skutek powyższego oświadczenia, przedłożył Wydział krajowy sprawę tę ponownie do uznania sejmu sprawozdaniem z d. 5. marca b. r. do l. 6365 i zakończył je następującym wnioskiem:

Sejm oświadczy c. k. rządowi:

1. iż za konieczną potrzebę uznaje wydanie dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem jednolitej ustawy o łowiectwie, obejmującej całość przedmiotu;

2. poleci Wydziałowi krajowemu. aby w porozumieniu się z c. k. rządem i z uwzględnieniem przygotowanego już projektu, na najbliższą sesyę sejmową przedłożył w ten sposób skorygowany nowy projekt ustawy łowieckiej.

Komisya administracyjna obecnie obradującego sejmu, zbadawszy powyższy przebieg sprawy i wziąwszy na uwagę zawiadomienie c. k. namiestnictwa, że projekt ustawy łowieckiej dla Galicyi, w ministerstwie rolnictwa wypracowany, w swoim czasie sejmowi przedłożonym zostanie, że ten elaborat ma być pierwej poddany obradom ankiety, złożonej z zastępców Wydziału krajowego, towarzystw gospodarskich, stowarzyszeń fachowych i t. p.; w skutek czego c. k. Prezydyum namiestnictwa i Wydział krajowy do delegowania swego zastępcy zaprosił — przedstawiła przez usta swego referenta, posła Adama Jędrzejowicza, wniosek następujący:

„I. Przyjmuje się do wiadomości sprawozdanie Wydziału krajowego o potrzebie wydania jednolitej ustawy łowieckiej.

II. Sejm oświadcza c. k. rządowi swoje zdanie, że uznaje za potrzebne wydanie dla naszego kraju jednolitej ustawy łowieckiej, obejmującej całość przedmiotu."

Wnioski te uchwalił sejm krajowy na posiedzeniu swem z d. 12. listopada b. r. bez dyskusyi.

Tak więc sprowadzoną jest sprawa całkowitego kodeksu łowieckiego do stadyum pierwotnego, zasadniczego — i dobrze się stało. Że w stadyum tem głos fachowy powinien zaważyć na szali, rozumie się samo przez się, tem bardziej, że w przedłożeniach rządowych, niestety, miewamy zazwyczaj szablony, nie rozliczające się z właściwościami kraju, jego przyrody, warunków klimatu, stosunków społecznych i ekonomicznych, i że przeto powstają nieraz ustawodawcze potworności, nie mogące wejść w życie, bo przeciwne życiu i naturze kraju. Nie wątpimy też, że gal. Towarzystwo łowieckie dołoży wszelkich starań, ażeby głos jego w obradach ankietowych nad ustawą łowiecką został jak należy wysłuchany i uwzględniony. *„Łowiec" ze swej strony otwiera swe łamy dyskusyi nad potrzebami łowiectwa i ustawy łowieckiej i zaprasza wytrawnych znawców łowiectwa do wzięcia w niej udziału.*

Oryginały kniei.

Skreślił

Władysław Spausta.

Długotrwała posucha roku bieżącego, podczas której powysychały wszelkie wody martwych kałuż leśnych, zmusiła dziki do ogólnego wymarszu w miejsca lasów północnych nad brzegami rzeki. Tam rozłożyły się całe stada w wygodnym biwaku, jaki nastręczają łozami i trawami zarosłe stare koryta Dniestru. Dowiedziawszy się o tem, naturalnie pospieszyłem za niemi; korciło mnie oglądnąć te, dla myśliwego tak powabne osady. Miejsca te, oddalone od mieszkania o jakie pół mili, zmusiły mnie do opuszczenia domu o świcie, zwłaszcza, że wycieczkę tę trzeba było odbywać pieszo, bo teren, poprzerzynany moczarami i strugami, uniemożebniał jazdę wierzchem, a tem bardziej kołami

Ledwie szarzał poranek. Z pól, łąk i lasów wznosiły się sine opary, zakrywające widokrąg, i pod taką zasłoną znalazłem się w głębi ciemnego lasu. Tu dopiero ozłociło wierzchołki drzew żółto wschodzące słońce, a przed tym wozem Apolina niknęły mgliste tumany, i niestety, wionąc ku górze, nie wróżyły pogody. Coraz bardziej rozsuwał się widokrąg, a w ultramarynowych cieniach ukazywały się dalsze partye lasu.

Różnej wielkości poszlaki dzików, zupełnie świeże, zaciągnęły mnie w niedostępną gęstwinę. Trzeba mieć trochę żyłki myśliwskiej, aby zrozumieć, iż gdy się wlazło na świeży trop zwierza, gdy na mokrej i miękkiej ziemi on sam wypisuje swój adres, idzie się za nim coraz dalej i dalej, zapominając o wszelkich przeszkodach, wszelkich nieprzyjemnościach, jakie wydarzyć się mogą.

Poszlak przeprowadził mnie przez strugę, zwaną do dziś dnia przez lud „Sudysławką“ (a nazwa ta datuje się jeszcze od najazdów tatarskich, podług których według tradycyi sądzili tutaj Tatarowie jakiegoś jeńca na śmierć). Przebrnąwszy strugę, spojrzałem w górę, czarne chmury poczęły się wznosić na zachodzie warstwami coraz wyżej, a tylko brzegi chmur jaśniały białością na ciemnym lazurze nieba. Dotychczosową ciszę przerwał w górze lekki wiatr, tylko górne liście zaszumiały; na dole panował jeszcze zupełny spokój. Szum delikatny liści w górze, to niby szept trwogi przed nastąpić mającą burzą. Nie długo też kazał czekać na się tryumfalny wjazd Peruna. Jakby goniec przed jego rydwanem, wpadł gwałtowny wiatr między drzewa, powstał już w dali gwałtowny trzask i ogłuszający szum, a szum ten i łomot unosił się coraz dalej w głąb lasu. Nie liście już, ale konary i olbrzymie pnie kołyszą się, a trąc szorstką korą jedno o drugie, wydają piekielne zgrzyty i jęczenia, jakby jakiejś duszy utrapionej, błądzącej po lesie. W górze słychać jakieś mistyczne głosy — mistyczne, bo się nie widzi ich źródła — to jakieś ptactwo z przeraźliwem poświstem skrzydeł przelatuje po nad szczyty drzew, szukając bezpiecznego przed wzburzonym żywiołem schronienia. Ruch, obejmujący wszystko, co przedtem spokojne robiło wrażenie — do tego rozmaite akustyczne wrażenia — wszystko to składa się na ową straszną a wzniosłą całość, zaczyna działać na wyobraźnię i przed oczami samotnego w tej chwili w lesie człowieka snują się dziwne obrazy i niemal widzi, „jak łowiec umarły mglistemi psami mgliste pędzi tury, błyskawicznym wichrem oślepione“.

Spadające gałęzie i zeschłe konary, rzucone jakby haracz zbliżającej się potędze, kazały mi co rychlej szukać schronienia. W tej chwili przyszło mi na myśl, że chata leśnego Iwana ztąd niedaleko, zacząłem zatem o ile możności szybko przedzierać się przez gąszcze łóz i trzcin, aż wreszcie dostałem się w duży las dębowy, zkąd już łatwiej dojść mogłem do zamierzonego celu.

Podczas tego pochodu srożył się wicher coraz gwałtowniej, a grube krople deszczu, gnane orkanem, biły po liściach dębów. Słońce skryło się zupełnie w kirze czarnych chmur, w których ciągle huczało i słychać było dalekie ryki grzmotów. Na moje szczęście dojrzałem już w oddali zagrodę leśnego Iwana.

Tym razem zbliżyłem się zupełnie inaczej do tego futoru, mówię inaczej, bo zwykle atakowały mnie psy Iwana, a było ich tam kilkanaście, rozmaitej wielkości i cnoty. Teraz cała ta hołota, ogłuszona wichrem i łoskotem w lesie, skryła się w jakiś kąt bezpieczny.

Psy naszego chłopa, a osobliwie psy chłopa leśnego, są to oryginalne stworzenia, będące jednym z najważniejszych może powodów, iż u nas zwierzostan w porównaniu do innych krajów, tak nędznie się przedstawia.

Owe chłopskie t. zw. kundysy, jak je i Iwan stary nazywał, są to okazy, w których się łączą przymioty niemal wszystkich ras psich, do myśliwstwa używanych, mniej więcej w wybitnym stopniu. I nie dziw, bo w tym kundysie może oko znawcy prawie zawsze odkryć cechy ras łowieckich. Są tam bastardy z gończych i legawych jamników, chartów i ogarów, i rozmaitych innych ras i odmian. Pokrzyżowanie tych wszystkich ras wytworzyło t. zw. rasę psów chłopskich, kundysów, strasznych dla łowiectwa wobec sposobu, w jaki chłop psy utrzymuje. Bo jakaż zwierzyna może się ostać wobec takiego mnóstwa drapieżców wolno chodzących, a zawsze głodnych? — bo chłop albo rzadko, albo nigdy psu jeść nie daje, w najlepszym razie każe mu wbrew naturze pożerać kartofle lub barszcz z burakami — wobec tych drapieżców, w których się łączą przymioty wspomnianych szlachetnych przodków, a w których głód i bieda wytworzyła spryt i zmyślność niepraktykowaną? Przymioty te umie wyzyskać doskonale wieśniak kłusownik, a kieruje tylko o tyle edukacyą psiego pokolenia, aby w danym razie jemu, a nie psom przypadł lwi udział w kłusowniczem rzemiośle.

Wsadziwszy rękę w otwór w ścianie chaty, otworzyłem drewnianą zasuwę u drzwi i wszedłem do sieni. A była to ostatnia chwila, aby ujrzeć dach nad głową, bo po czarnym niebie przelatywały ogniste języki, jak rozżarzone gadziny, a deszcz coraz gwałtowniejszy lał strugami

W sionce, przy kominie ogromnych rozmiarów palił się ogień, przy ogniu stała gliniana rynka, do połowy wodą napełniona, woda wrzała w rynce, a kobieta, już nie młoda, trzymając dwa sierpy w rękach, wybijała końcami tychże jakiś rytm po dnie rynki, nie zwracając początkowo żadnej na mnie uwagi. Była to sama gospodyni, żona leśnego Iwana. Na moje zwykłe pozdrowienie ani odpowiedziała, ani się odwróciła, wybębniając dalej rytm sierpami. Stałem zdumiony, nie wiedząc, co to ma znaczyć, wreszcie sądziłem, iż jest pozbawiona zdrowego rozumu.

Zaglądnąłem do izby, do komory, nie było tam nikogo, byłem sam z obłąkaną prawdopodobnie starą babą. wśród lasu i burzy. Siadłem na ławie w izbie, niecierpliwy i ciekawy rozwiązania zagadki. Wreszcie uderzył gdzieś blisko piorun. Zatrzęsła się cała chata, a bębnienie ustało; po chwili ukazała się w progu izby Iwanowa, wlepiwszy przestraszone oczy we mnie. Pozdrowiłem ją jak przedtem. lecz ona po chwili dopiero odpowiedziała, poznając mnie widocznie. W zwykłej pogadance o rzeczach gospodarstwa, o burzy itp. poznałem, że kobieta ta jest zupełnie na umyśle zdrową, nie chciałem jednak sam zapytać o znaczenie opisanej sceny, wiedząc, że w ten sposób nie dowiem się niczego.

Po chwili przyniosła chleb, śmietanę i cebulę, zapraszając mnie, bym niegardził jej poczęstunkiem. Byłem zgłodniały, jadłem więc potężnie, chwaląc i chleb i śmietanę.

— Oj bida, proszu pana, teper z mołokom, bo wid dwoch nedil nema nic, nema szczo cerkaty. czariwnycia szelma widibrała zo wsim. Ałe ja wże nyni ju prykłykała, to Hospod Boh daść, perestane robyty pakiść.

Następnie w wymownych słowach przedstawiała mi wykonywaną przed chwilą praktykę jako jedyne arkanum, przysięgała się, że na jej bębnienie sierpami, czarownica rzeczywiście przyszła, że ją zaklęła i że następnie kominem uleciała w chwili, gdy piorun uderzył.

Ja w głębi serca dziękując Stwórcy, żem się mężczyzną urodził — gdyż inaczej mogła mnie była spotkać nieprzyjemność, gdyby nie to, że lud demona, odbierającego mleko zawsze przedstawia sobie w postaci niewiasty — zabierałem się do wyjścia. Wiatr już przycichł, a od wschodniej strony nieba, dokąd pociągnęły chmury. słychać było oddalone pomruki grzmotów.

Pożegnałem babinę, udając się na ścieżkę, którą Iwan, wedle wskazówek żony, miał wracać do domu. Ponuro szara powłoka nieba zaczynała się już przecierać, ukazując cieplejszą u zenitu barwę, wreszcie wytrysnął naprzód słaby, a później jaskrawy promień słońca. Ptactwo leśne, dotąd milczące, znów wesołemi nawołuje szczebioty, a zioła leśne skrzą siedmiobarwnemi brylantami tęczy. Od zachodu roztoczył się czysty i przeźroczy lazur nieba, a pomykające coraz dalej ku wschodowi chmury wywołują błogie uczucie oddalającej się grozy.

* * *

Oddaliłem się już o kilkaset kroków od zagrody, postępując krętą ścieżką, gdy mnie doleciało szczekanie psa, później nastąpiły jakieś nawoływania, głosy zbliżały się ku mnie, wreszcie rozległ się niedaleko odemnie w gęstwinie trzask spalonej kapsli. Oczywiście, komuś strzelba nie wypaliła. Po chwili wypadł z gęstwiny zupełnie przemokły, strasznej postaci chłop, a nie widząc mnie, zawołał jak z tuby do towarzysza w krzakach:

— A szczo kumie?

— O ho! — odpowiedział głos z krzaków.

— Ałe?

— Bihme!

— Ho, ho, ho! — krzyknął chłop, a głos z za krzaków odpowiedział mu tonem rezygnacyi:

— Ha! — na co chłop dziwnie prędko wybełkotał:

— Pek, pek, pek! – dając tem wyraz podziwienia i strapienia.

Po chwili niewidoczny dotychczas towarzysz wylazł z krzaków. Był to Iwan, leśny. Drugi zwał się Harasymem; nazwiska jego nie znam, zdaje mi się, że on sam go nie zna, a wreszcie na nic mu te dodatki się nie zdadzą.

Podszedłem bliżej do tych dwóch oryginałów leśnych i powitaliśmy się nawzajem jak zwykle dobrzy znajomi.

Harasym był to chłop wzrostu małego, niezgrabny, dziwacznej budowy ciała, o rysach twarzy, przypominających raczej ów dotychczas nieodszukany prototyp człowieka, niż mieszkańca Europy 19. wieku. Rzadki zarost wąsów i brody jakby siekierą przecięty, i rozwiany w rzadkich kosmykach, zlepiony długi włos, potęgował jeszcze bardziej to zjawisko dzikie. Na głowie miał czapkę ogromną z samych łatek rozmaitych skór zeszytą; można tam było odróżnić i kosmyki kożucha i kawał głowy borsuczej, a wreszcie ogon lisi drapował całość. Pomimo, iż pora była ciepła, był zupełnie zadowolony ze swego okrycia głowy, bo po oddanym mi ukłonie, zacisnął czapicę mocno na głowę, tak, że odepchnięte od głowy uszy sterczały jak dwa wachlarze. Z kłaków sposobem sieci zrobiony gruby i ciężki kaftan, tylko po biodra krył górną część ciała, a ogorzała pierś czerniła się z pod niezapiętej, z samych łat składadającej się koszuli. Zamiast pasa, miał zwitkę czeremchową, dość misternie skręconą, która utrzymywała w niejakim ładzie spodnią część ubrania," będącą w zupełnej harmonii z całością. Zresztą był bosy. Zamiast broni palnej, trzymał w ręku sękaty kostur.

Chłop ten był niegdyś mieszkańcem sąsiedniej wioski, gdzie przybył niewiedzieć skąd i „przystał“ do wdowy, która piękny grunt posiadała. Jednak praca około dobytku i roli nie smakowała mu, odczuwał on inne, wyższe powołanie; to też po śmierci żony opuścił na zawsze grunt, na którym dzieci żony osiadły. Od tej chwili — a było temu już lat 25 — zaczął prowadzić życie samotne, włócząc się bezustannie po okolicznych lasach. Czasem tylko zachodził do wsi, aby wymienić tutaj swe leśne zdobycze na inne dary boże, niezbędne do życia, czasem odwiedzał okoliczne miasteczka również w tym samym celu. Monety żadnej nie uznawał i prowadził tylko zamienny handel.

Trudno wyliczyć to wszystko, co Harasym miewał do zbycia; oprócz płodów surowych, były tam i rozmaite wyroby przemysłu, ba nawet artyzmu. Po błotach i wodach we właściwej porze wybierał jaja kacze, łapał piskorze, czasem udało mu się i większe złowić ryby; po dziurach nad brzegami rzeki Wereszycy wydobywał raki, nastawiał „siłka“ na bekasy, kurki wodne, kaczki dzikie, samotrzaski na drobne ptaszki, które umiał wabić doskonale, naśladując głosy wszystkich ptaszków i nazywając je po swojemu. Umiał wykurzać lisy i brać je bez strzału, zasiadał na borsuka i zabijał go pałką przy norze, śledził kunę leśną na śniegu, a żaden tchórz nie uszedł mu, gdy raz wszedł na jego tropy. Zbierał wszelkiego rodzaju grzyby, na których znał się doskonale, wszelkie jagody leśne, wycinał rogozinę i wyplatał sam kobiałki, pręcie na kosze najrozmaitszego rodzaju. Zaginał młode brzózki lub „kwaśnice“ na zgrabne

laski, czasem nożem wyrzynał na tychże swego rodzaju ornamenta, dostarczał całej okolicy mioteł, wideł, grablisk, obręczy i t. p.

Odzienie po największej części wyrabiał sam, a produkta do tego pozyskiwał w drodze zamiany, np. kłaki na opisany kaftan, z których za pomocą dwóch patyczków wyrabiał odzież, rękawice, czapkę i t. p. Kożucha nigdy nie używał, bo twierdził, że ciężko w tem chodzić po lesie; właściwa zaś przyczyna leżała w czem innem. O jałmużnę nie prosił nigdy, a noce przepędzał najczęściej pod gołem niebem, zimą zaś w szopach, pod stertami, lub już w najgorszym razie w izbie karczemnej. Pijakiem nie był nigdy i nikt go pijanego nie widział. Przy tem wszystkiem był to człowiek z gruntu uczciwy, któremu największe skarby powierzyć było można, a nieznanym był wypadek, w którymby Harasym naruszył cudzą własność, naturalnie własność w jego pojęciu, tj. przedmiot, do którego wydobycia przyczynił się człowiek swą pracą. Wszystko inne było dla niego wolnym darem bożym, który ręka opatrzności rzuciła na świat, nie mianując równocześnie właścicieli. To też za największych wrogów rodzaju ludzkiego uważał on straż leśną. Byli to, według jego wyobrażenia, gwałciciele porządku bożego, uzurpatorzy urojonych praw, ale, że Harasym nie był usposobienia gwałtownego, w pokojowy sposób starał się pozyskiwać ich względy.

Nieraz spotykałem tego oryginała pośród lasu, gromadzącego siano na polanach, które leśni dla siebie pokosili. Wyglądał on komicznie przy tej robocie, do której widocznie nie był stworzony, a wśród tej pracy powtarzał często: „Praciuju, bo ja duże lis kochaju, treba hajowym pomoczy, szczoby meni jakoj krywdy ne zrobyły.“

Pomimo strasznej powierzchowności Harasyma, nie zapieram się, że go lubiłem; przeczuła to ta biedna dusza, bo ponad swój zwyczaj odwiedzał mnie dosyć często, przynosząc mi rozmaite, według jego wyobrażenia, przysmaki i skarby. To pięknych ożyn „korobka“, to koszyk dorodnych grzybów, to znów pięknie zagięta laska były dowodami jego szczególniejszej pamięci.

Rozmawiałem z nim często, a po każdej takiej rozmowie odczuwałem więcej dla niego sympatyi.

Był to człowiek, który idąc za swemi etycznemi zasadami, był w wiecznym konflikcie z prawem, istny biegun przeciwny owej mnogiej tłuszczy. co na każdym kroku manifestując swą uległość dla prawa, pozostaje z niem zawsze w grubej rozterce, a oraz w niezgodzie z etyką przyrody.

Jeżeli sam przez się Harasym wyglądał strasznie, to jeszcze strasznieszym wydawał się obok swego towarzysza, leśnego Iwana, który przedstawiał typ pięknego starca. Pomimo, iż ósmy krzyżyk już mu mijał, z twarzy tętniło silne życie i czerstwość, chód miał prawie młodzieńczy i siły o tyle, iż najpunktualniej swoję służbę pełnił, w wolnych zaś chwilach trudnił się rybołostwem w pobliskiej rzece. Podobnie jak Harasym, znał się Iwan wybornie na rozmaitego rodzaju łowach bez strzelby; ze strzelbą wprawdzie chodził całe życie, lecz, jak sam mówił, nie miał do tego „szczaśtia i składu“, a potem dodawał, iż możeby kiedy co zastrzelił, gdyby jego strzelba miała „brank“, „ałe brank to nebezpiczna ricz, dla toho ja wże toho ne choczu prubowaty“.

Opowiedzieć tu winienem historyę, którą z ust tego starca o „brankowaniu“ strzelby słyszałem.

Będzie temu lat sześćdziesiąt, jak Iwan, młody jeszcze podonczas chłopak, pudłując ciągle ze swej fuzyi, radził się swego przełożonego leśniczego, co z tą fuzyą ma począć, aby zwierz po strzale nie uciekał. Mądry leśniczy, dumając długo, powiedział mu, że tak być musi, bo fuzya „branku“ nie ma. Trzeba ją koniecznie „nabrankować“, nabiwszy ją podwójnym ładunkiem prochu i „jiduszczą hadiuką“. Jak wyrzekł, tak się stało; młody Iwan złapał jadowitą gadzinę, nabił strzelbę wedle informacyi i wystrzelił do góry. Naturalnie, że był to ostatni strzał z tej fuzyi, bo lufę rozerwało, a mógł on być ostatnim i dla Iwana, gdyby nie szczególniejsze szczęście tego człowieka. Wszak strzelba, naładowana podwójnym nabojem prochu i gadziną, jak się wyraził Iwan, „aż po sam werch“, była okropnie morderczem narzędziem dla strzelającego.

* * *

Pierwsze słowa Iwana rozpoczęły się i teraz od narzekania na fuzyę, która mu nie wypaliła, a szkoda, bo może by był zabił zwierza, którego jeszcze dotąd w lasach tych nie widział; „jakaś bida, bilsza jak łys, a sywoji sersty.“

To samo powtórzył i Harasym, doprowadzony widocznie do pasyi, że nie może dać w tym względzie lepszego wyjaśnienia.

Domyśliłem się, jaki to gość rzadki zawitać musiał do tej kniei, nie zdradziłem jednak mego domysłu, lecz owszem śmiałem się z dwóch zawołanych łowców, którzy sami nie wiedzą, co w lesie widzieli. To podrażniło mocno łowiecką ambicyę tych obu oryginałów i prawie równocześnie przysięgali i „Bihme“ po kilka razy powtarzali, że zwierza tego jeszcze odszukać muszą.

Ja wierzyłem w to samo, bo przekonałem się setki razy, że wrodzonemu sprytowi tych ludzi, ich kociej cierpliwości i wytrwałości, żaden zwierz długo bronić się nie może.

Iwan, pomimo, że z Harasymem się pokumał, klał go na każde o nim wspomnienie w oczy i po za oczy, tolerował go jednak w lesie jakby jakie szkodliwe zwierzę, którego „zabyty ne chodyt sia, bo maje chreszczenu duszu.“ To też Harasym, wiedząc o tej zalecie swej duszy, pokazywał się często Iwanowi, nie obawiając się niczego ze strony dobrodusznego starca. W ważnych tylko chwilach życia schodzili się ci ludzie razem i panowała wtenczas między nimi największa harmonia. A chwile takie nadarzały się dosyć często; gdy stary Iwan po wylewie wód grodził płotki na strugach w celu wychwytania szaranów, gdy spotkał świeży ślad kuny leśnej, lub tchórza na śniegu — wtenczas zawsze przywoływał Harasyma do pomocy.

Dalsze chodzenie po lesie i po zmokłych liściach było niemożebne, pożegnałem zatem chłopów i puściłem się drogą ku domowi. Po głowie roiły się myśli o czarownicach, odbierających mleko biednym ludziom, o „brankowaniu“ strzelb, aż wreszcie znalazłem się na kraju lasu, przytykającego do pastwiska gminnnego. Pod samym lasem, na gruncie tegoż pastwiska, było miejsce niegdyś równo okopane, którego śladów jeszcze czas w zupełności nie zatarł; w pośrodku stało kilka świerków w malowniczej grupie. Powierzchnia ziemi, nierówna, kazała się domyślać, że tu niegdyś grzebano, a gadki ludowe mówiły coś o czarnej śmierci i grzebaniu tutaj chorobą tą dotkniętych.

Znalazłem się około świeżej mogiły; świeżej bo wysypano ją przed kilku dniami jakiejś dziewczynie z sąsiedniej wioski, która, pragnąc przejść w bród Dniestr, utonęła. Ojcowie gminy z wójtem na czele uradzili, aby ciało jej pochować tutaj na pastwisku, a nie prowadzić przez wieś, co by najniezawodniej grad i inne klęski na całą gromadę

ściągnęło. Jeszcze więc i to świeże wrażenie dołączyło się do oryginalnych swego rodzaju wrażeń dnia tego.

Miotany jakimś żalem, szedłem przez pastwisko ku domowi. W pewnem oddaleniu spojrzałem po za siebie. Kilka krzywodziubów ogryzało na świerkach młode jeszcze szyszki w rozmaitych, prawdziwie papuzich pozach, przeginając się lub wieszając na gałązkach szczytowych, a jeden z nich, najpiękniejszy, z czerwoną jak krew piersią, wprost nad mogiłą biednej dziewczyny śpiewał jakąś nieudolną piosenkę, zapewne piosenkę, której jej ludzie odmówili.

Cisza była, wiatr ani się ruszył, od czasu do czasu spadały szyszki, śpiew krzywodziuba delikatniej odbijał się na tle spokojnej przyrody, a na szpilkach świerków, pajęczynach i drobnej trawce lśniły do słońca w brylantowych barwach krople rosy, co w oddaleniu sprawiało świetlany obraz, jakby z czarodziejskiego wyjęty świata...

Z artystycznej tej obserwacyi wyrwał mnie głos dzwonka. Dzwonek ten zwoływał dziatwę na naukę szkolną. Spojrzałem przed siebie na ubogą chatkę, stojącą na brzegu wsi od pastwiska, a z małego okienka, założonego na pół szmatami zamiast szyb, wyglądała główka uśmiechniętego dzieciaka. W lepszem usposobieniu, bo z nadzieją lepszej przyszłości wstąpiłem do domowego ogniska.

* * *

Wśród zajęć ziemiańskich mijał szybko czas, wreszcie zapomniałem o uroczystem zaklęciu się chłopów, że wyszukają nieznanego zwierza.

Harasym włóczył się jak dawniej po okolicznych lasach, zjawiając się czasem we folwarku, a stary Iwan punktualnie obchodził codziennie las. Od lat niepamiętnych pozostawał u niego niezmienionym tryb dziennego zajęcia; stary pamiętał dnie, w których do lasu pójść nie mógł, a były to same dnie smutku i nieszczęścia.

— Hospod Boh ne bude mene za to karaty — mawiał. Dwa dni absentował się w skutek pogorzeli swej chaty, jeden dzień w skutek jazdy po cyrulika do pobliskiego miasteczka, gdy mu żona „na krow“ zachorowała, a wreszcie jeden dzień, gdy chował syna jedynaka. Sam Iwan nigdy nie chorował, mówił tylko: „koły zachoruju to i umru“ — i starzał się wraz z tym lasem, który mu od lat dziecinnych nad głową szumiał.

Minęła wreszcie i urocza jesień, a każdy dzień odzierał stopniowo różnobarwne liście z drzew; przyroda leśna zwolna przygotowywała się do snu zimowego. Odkryły się cieniste gąszczaki, a poważne dęby okazały w całej postaci swe kurczowo powyginane konary, niby symbole upartej a niestrawionej siły. Powiał wiatr z północy i białym puchem obrzucił zamarzłą już ziemię.

Było to 13. listopada. Wyszedłem o świcie na folwark. Mróz był tęgi, w nocy osiadł szron na drzewach i poocukrzał kryształkami lodu gałązki, płoty, zeschłą trawę i chwasty, które z ponad płytkiego śniegu wyzierały. Żółtem światłem znaczył się już na wschodzie nadchodzący dzień, a w przeciwnej stronie, w mglistem fioletów mroku, kąpała się knieja.

Iwan stary przeszedł przez folwark do lasu. Pozdrowiliśmy się „sława Bohu, sława na wiki“. Pora ta zapraszała do kniei. Było w niej tyle powabu, tyle rusałkowych cudów, tyle ponęty na ziemi, tropem zwierza świeżo popisanej, iż mimowolnie odprowadzałem okiem starego Iwana aż do lasu pobliskiego. Przed samem wejściem na linię lasową stary się zatrzymał. Z kniei pokazał się Harasym, a mnie doleciała następująca rozmowa:

— Je! - wykrzyknął Harasym, ujrzawszy Iwana.

— Breszesz — odpowiedział Iwan.

— Bihme je!

— Ej? — powątpiewał stary.

— Ałe je! — upewniał go Harasym.

Stary nawrócił zaraz do folwarku i oznajmił mi, że Harasym wytropił zwierzę, które jeszcze w lecie spotkali. W duch pochwyciłem strzelbę i szedłem do lasu szybkim krokiem. Za chwilę znalazłem się w towarzystwie Harasyma w głębi lasu, i tu dopiero dowiedziałem się dokumentnie, że wytropił „tuju bidu“, w norach „Turkowego Kopca“ wśród lasu „Rubani“. Podrażniony swego czasu mem powątpiewaniem, śledził on bezustannie zagadkowe zwierzę, a pierwsza ponowa dozwoliła mu święcić tryumf prawdy. W milczeniu wskazał mi trop zwierza „szcze tepły“, a gubiący się jak powiadał w norach „Turkowego Kopca“. Zrobił przytem taką minę, jakby już łupił skórę z zagadkowego zwierza.

Tak zwany „Kopiec Turkowy“ był po prostu kopcem tryangulacyjnym, jak to z map katastralnych się dowiedziałem, a nosił nazwę swą, jak tradycya podawała, od jakiegoś Turka czy Tatara, którego pochowano w lesie i już poprzednio na tem miejscu kopiec usypano. Geometra użył prawdopodobnie gotowej mogiły jako punktu tryangulacyjnego.

Mykicia rodzina nie wchodząc w to, czy leżał tam Turek czy Tatar, uznała miejscowość tę za bardzo stosowną do zbudowania sobie łupiezkiego zamku. Położenie było bardzo przyjemne, po nad teren okoliczny wzniesione, ciche, a gęstem podszyciem leszczyny zakryte.

Niedaleko ztąd znajdowały się rozmaite spokojne narody leśnych, błotnych i polnych okolic, które mykita wraz z całą swoją rodziną nawiedzał, jako wyłącznie do jego użytku stworzone. To też liczne pokolenia tej zbójeckiej chałastry wychowywały się w wnętrzu Kopca Turkowego, kolonizując następnie dalszą okolicę. Jednak w tak wygodnych warunkach pędzone życie, podtrzymywane krwią tylu niewinnych istot, zniewieściło wreszcie tych rabusiów; raptem jednej nocy nie wróciły do swych zamków. Przyszła kreska na Matyska... Groźna Nemezis ręką leśnika podrzuciła im zdradliwe orzechy, ów z pewnością już nie dla mykity stworzony przysmak. one zaś zapragnęły nowych łakoci i legły wszystkie najnędzniejszą śmiercią. Nie sprawdziło się nawet myśliwskie przysłowie: „Kiedy lis zdechnie, to futro zostanie“, bo i lis zdechł i futro wylazło.

Od tego czasu — a było temu już dwa lata — apartamenta w Kopcu Turkowym stały pustką i długo nie trafiał się chętny lokator. I nie dziw; wszak straszny wypadek potrucia nie mógł pozostać w tajemnicy pomiędzy mieszkańcami lasu, a przykro jest zamieszkać dom, którego mieszkańców spotkał tak straszny koniec. Nowy przybysz, ze stron prawdopodobnie dalekich, widocznie nie wiedział o niczem i zamieszkał może czasowo tylko opróżnione mieszkanie.

Nieraz słyszałem o kunszcie Harasyma w wykurzaniu lisów z nory; teraz miałem być świadkiem tej ciekawej operacyi. Szedłem więc w milczeniu za tropem, a Harasym, wspomniawszy przedtem, że trzeba będzie kurzyć, zniknął w lesie. Doszedłszy do Kopca, w którym trop się zgubił, obszedłem wszystkie otwory nor; były one już pręciem i mchem z drzew mocno pozatykane, a świeży ślad ogromnych butów w śniegu wskazywał, iż była to robota Harasyma.

Po niedługiej chwili był już Harasym z powrotem, niosąc ogromną torbę ze starych cholew uszytą, już bardzo starą, bo same z niej strzępki wisiały, a wypakowaną do pełna. Widocznie torba ta miała dla Harasyma szczególną wartość; pominąwszy już, że była sporządzoną z klejnotu, który chłop nasz „remeniem“ zowie, łączyły się z nią także rozmaite ściśle rybacko-łowieckie wspomnienia. Ostrożnie, jakby dziecko, złożył Harasym torbę tę na ziemi i odetkał dwa okna nory. Następnie począł wydobywać z torby rozmaite materyały, czyli jak je zwał „naczynia“ do wykurzania. A było tam tego dosyć: ogromne krzesiwo, krzemień, kawał brudnej, nadpalonej onucy, kilka płachów suchych odchodów bydlęcych jeszcze z pastwiska pochodzących, pióra z rozmaitych ptaków, nareszcie włosień z ogonów bydlęcych.

Rozłożywszy to wszystko na ziemi, rozpoczął krzesać ogień, chwytając iskry w nadpaloną szmatę. Gdy szmata tlić się poczęła, machał nią zamaszyście dopóty, dopóki ogień nie buchnął. Do Prometeuszowego ognia tego przyłożył płatek odchodów, jął znów dmuchać i machać, a po dobrej chwili zatlały odchody i ciężki a gryzący dym zaczął się wydobywać. Teraz zalecił mi ostrożność i pogotowie do strzału, gdyż, jak powiadał, zwierz niebawem pozostałym otworem wymykać się będzie, sam zaś zdjął z nogi ogromny but z cholewą wykładaną, przyklęknął koło otworu, a posypawszy jeszcze piór i dorzuciwszy kiść włosów do żaru u wylotu nory, począł dymać cholewą buta, wpędzając w ten sposób dym do nory. A był to dym straszny, połączenie najfatalniejszych odorów, dym, któryby chyba samego Belzebuba z piekła mógł wykurzyć.

Stałem z odciągniętemi kurkami, z wytężoną uwagą, a Harasym dymał i dymał, dosypując od czasu do czasu swych perfumeryi do żaru. Dym jął się już wydobywać szczelinami zatkań w rozmaitych miejscach, niemniej otworem, który strzegłem. Trwało to chwilę dobrą, a dym dobywał się coraz obficiej, tak, iż musiałem dobrze się wpatrywać, aby nie przeoczyć w dymie wymykającego się zwierza. Wreszcie pokazały się dwa siwo-rude ucha i ruda morda; dym zrzedniał w tej chwili, aby buchnąć całym bałwanem, gdy wtem ogromnych rozmiarów ż b i k wyskoczył z nory. Szczęście, że stałem na połeć, bo z tyłu strzał w skutek dymu byłby niemożebny. Śmierć miał bardzo szczęśliwą, bo nie męczył się wcale. Zaraz po strzale Harasym jednym skokiem był przy trupie, podniósł go ze ziemi i śmiejąc się śmiechem orangutana, wykrzyknął:

— Taki je! Bihme je!

Za chwilę, uczepiwszy żbika na gałęzi, obieliłem go, nie chcąc nieść niepotrzebnego ścierwa do domu. Operacyi tej przypatrywała się zdala jakaś bardzo ciekawa wrona, dając ochrypłem krakaniem wyraz swego uznania memu pomysłowi.

Żbik ubity mierzył od nosa do końca ogona 1·15 cm.; był to zatem niezwykłej wielkości kocur, zwierz zupełnie nawet przez Harasyma nie widywany w tych kniejach, a rzeczywiście, jak mówił stary Iwan „bilszy jak łys, sywoji sersty“.

Dnia 15. listopada 1889. w Koszarkach.

Z obcych światów.

Między wiecznemi lodami.

Grenlandya, badana w ostatnich latach z taką wytrwałością przez głośnych podróżników norwegskich Nordenskjölda i Frithjofa Nansena — owa kraina wiecznych lodów, naga, bezleśna, jest jedyną w swoim rodzaju pod względem łowieckim.

W porze letniej, gdy słońce po długiej, kilkomiesięcznej nocy na horyzoncie się ukaże, ażeby zeń znowu przez kilka miesięcy nie schodzić, zaczynają topnieć śniegi a częścią i lody, tworzą się szumiące rzeki, tu i owdzie okrywa się chuda gleba mchami, porostami i rzadkiemi trawami, wybrzeża morskie roją się gromadami najróżnorodniejszego ptactwa przelotnego, a w głębinach mórz pluska cała rzesza ryb, fok, morsów i wielorybów. Gdy jednakże noc znów zapadnie, a śnieżyce srożąc się, zmiatają wszelkie życie — gdy blady księżyc przegląda się w olbrzymich szybach zamarzniętych zatok i mórz, lub fioletowo-purpurowe promienie tajemniczej zorzy polarnej palą się na szczytach lodowych skał — wtedy tylko niedźwiedź północny i lis polarny są panami lądu, a foka i mors szukają miejsc otwartych, aby zaczerpnąć powietrza i nie ulec srogości mrozów.

A przecież i wtedy walka o byt wypędza nikłego Eskimosa na lody i każe mu staczać śmiertelne boje o żywność, światło i odzież.

Królem zwierząt północy jest polarny n i e d ź w i e d ź b i a ł y *(Ursus maritimus)* 8–9 stóp długi, którego waga dochodzi niekiedy do 900 funtów. Stanowi on główną gałąź pożywienia mieszkańców północy, a skóra jego jest dla Eskimosów bardziej jeszcze użyteczną, niż mięso. Tłuste mięso niedźwiedzia jest niesmaczne i niezdrowe, podczas gdy mięso z chudego i głodem wycieńczonego niedźwiedzia dostarcza smacznego pożywienia. Tłuszcz niedźwiedzia czuć tranem, budzi on więc wstręt tem bardziej, iż zapachem tym nawet mięso przesiąka. Najsmaczniejsze jest mięso z młodych, z tego zaś najlepsze łapy. Charakterystycznem jest, iż wątroba niedźwiedzia jest dla człowieka trująca i działa tak samo, jak mała doza arszeniku, podczas gdy psom wcale nie szkodzi. Chemicznie jeszcze tego nie badano, znanem to jest tylko z doświadczenia. Dlatego też Eskimos wycina zawsze wątrobę i rzuca ją psom.

Pożywieniem niedźwiedzia białego są przedewszystkiem psy morskie. Morsa napada czasami tylko wtedy, jeśli się ten na brzegu znajduje, za foką zaś idzie nawet do wody. Na lądzie poluje na wszystkie prawie zwierzęta, z lisem tylko pozostaje w przyjaźni, ten bowiem jest za mądry, aby mu się dał złapać. Wielką część jego pożywienia stanowi także mięso, zakopywane przez Eskimosów na zimę; w wy-

szukiwaniu zaś tych składów mięsnych jest nadzwyczaj biegłym. Choćby były zagrzebane w ziemi, znajdzie je zawsze; mogą i kamieniami być przywalone — drobnostką dla niego odrzucić je; nawet ogromne kilkucetnarowe skały usuwa z największą łatwością, jakby małe kamyczki. Nieraz już próbowano jaskinię przywalić kamieniami, mniejsze szpary zatykano gruzem i ziemią, wreszcie polewano to wszystko wodą tak, iż na mrozie tworzyła się jedna wielka zamarznięta bryła, którą ludzie tylko za pomocą toporów i drągów żelaznych mogli rozwalić, — lecz cóż to znaczyło dla niedźwiedzia? Zawsze prawie znajdował kryjówkę, rozwalał ją i wykradał nagromadzone zasoby.

Je on bardzo wiele, a nigdy nie ma za wiele, pożera bowiem wszystko, co spotka, zwłaszcza gdy jest głodny. Solone mięso, czy świeże, mielona kawa, czy w ziarnach, skóra itp. — jemu wszystko jedno; gdy głodny, wszystko miażdży swemi strasznemi kłami. Najsilniejsze beczki z łatwością rozbija łapą.

W południowej Grenlandyi nie jest niedźwiedź polarny tak drapieżnym. Tam bowiem w osadach europejskich znaleść można broń palną — a chociaż niedźwiedź kuli się nie boi (naturalnie, jeżeli go ta śmiertelnie nie ugodzi), to przecież jest na tyle ostrożnym, iż nie występuje wprost do walki z człowiekiem, lecz jeżeli może, ucieka. Inaczej w północnych częściach Grenlandyi. Tam napada człowieka, zwłaszcza, jeżeli zostanie zaczepiony. Szczególnie niebezpieczną jest niedźwiedzica przy młodych; nie ma bowiem matki, któraby z większą pieczołowitością, odwagą i siłą broniła swego dziecka, jak niedźwiedzica. Gdy zostanie zaczepioną, stara się przedewszystkiem ukryć swe młode, chwyta je więc w pysk i ucieka tak szybko, iż psy zaledwie mogą za nią zdążyć. Gdy się biegiem zmęczy, staje do walki. Siada wówczas na tylnych łapach, młode zaś dla pewności kryje pod siebie. Skoro się pies nawinie, chwyta go zębami i odrzuca na jakich dziesięć kroków. Całą zgraję najsilniejszych psów w ten sposób potrafi rozpędzić.

Jednak prawdziwe północne psy inaczej niedźwiedzia atakują. Nie zbliżają się one nigdy tak blisko, aby je niedźwiedź mógł pochwycić, a gdy się do którego zbliży, wtedy reszta zaczepia kudłacza z tyłu, tak, iż ten musi się obrócić i porzuca psa upatrzonego. Psy Eskimosów trzymają zwykle niedźwiedzia w miejscu, dopóki nie nadejdzie myśliwy, by walce koniec położyć. Jeżeli zaś myśliwy niedźwiedzicę ubije, to polowanie jeszcze nie skończone. Młode bowiem występuje w obronie matki, staje na jej ciele i kąsa w około siebie. Tak jak matka ryczała, iż na milę prawie słychać było, tak mruczy i ryczy teraz młode, broniąc się. Wszelkie usiłowania, by je żywcem złapać, są daremne, zwykle więc zmuszony jest myśliwy zabić i młode.

Polowanie na niedźwiedzia w północnej Grenlandyi wymaga szczególnej odwagi i zręczności, tem bardziej, iż Eskimos tak do swej obrony, jak i pokonania potężnego nieprzyjaciela, nic więcej nie ma, jak tylko włócznię. Mimo tego jednak i mimo wielkiego niebezpieczeństwa, jakie z tem polowaniem jest połączone, szuka zwykle Grenlandczyk podobnych przyjemności. Skoro tylko gdzieś w pobliżu niedźwiedzia zwietrzy, siada na szybkie swe sanki i wyjeżdża na spotkanie zwierza. Z tropu dowiaduje się zwykle, z jakim niedźwiedziem będzie miał do czynienia. Psy wietrzą. Gorączka polowania wzrasta coraz bardziej. Wreszcie spotyka się myśliwy z niedźwiedziem. Zwierz spieszy, by się gdzieś wśród lodów zabezpieczyć i schronić. Gwar w około, psy wyją, niedźwiedź ryczy. Wówczas spuszcza Eskimos ze sfory dwa najtęższe psy, a te nacierają na niedźwiedzia równocześnie z obu stron. Niedźwiedź chwilę zwykle wstrzymuje się po tym pierwszym ataku; wtedy myśliwi wypuszczają wszystkie psy i wyskakują z sani. Psy obskakują niedźwiedzia i wstrzymują go tak długo, dopóki myśliwy nie znajdzie się na stanowisku. Skoro jest dwóch myśliwych, postępuje polowanie zwykłym trybem, bez wielkiego niebezpieczeństwa, zwłaszcza dla Grenlandczyków, którzy dobrze umieją władać włócznią. Jeden z nich staje z prawej strony i gdy niedźwiedź, nie troszcząc się o zgraję okalających go psów, zwróci jedynie na niego całą uwagę, wówczas towarzysz z drugiej strony podbiega i zręcznem a silnem pchnięciem przebija niedźwiedzia. Cios ów zwykle jest tak wymierzony, że niedźwiedź nie ma już siły rzucić się na przeciwnika. Gdy przypadkiem jednak to uczyni, natenczas towarzysz godzi w niego włócznią z drugiej strony, a po tym ciosie zwierz zazwyczaj już pada.

Jeżeli zaś jest jeden tylko myśliwy, to musi obok siły i zręczności jeszcze podstępu użyć. Biegnie więc bardzo szybko, jak gdyby chciał ujść przed niedźwiedziem, przyczem zmienia ciągle kierunek drogi. Niedźwiedź goni przeciwnika, lecz nim swe ogromne cielsko zdoła zwrócić i skierować bieg za myśliwym — spotyka się zwykle na skręcie z włócznią Eskimosa i pada od jej pchnięcia nieżywy. Taki jednak cios wymaga tyle zręczności i siły, iż niezawsze jest szczęśliwy. W takim zaś razie myśliwy musi jedynie ratować swe życie. Niedźwiedź bowiem rzuca się z wściekłością na myśliwego, i gdyby nie psy, które go ciągle z tyłu trapią, rozdarłby go z pewnością, zdoła bowiem szybciej biec, niż człowiek.

Grenlandczycy mają zwykle, jako pamiątkę z polowania na niedźwiedzia, wielkie blizny na rękach i nogach. Całą rękę można czasem w ranę taką włożyć, bo gdzie raz niedźwiedź zrani, tam całemi płatami mięśnie wyrywa, a nieraz i kości łamie. Jeśli jednak myśliwy lekko lub wcale zranionym nie zostanie, to ponawia ataki dopóty, dopóki króla północy nie powali.

Podobnie jak niedźwiedź, tak i pies morski czyl foka albo nerpa mors, czyli koń morski należą do największych ssawców północy.

Foka *(Phoca vitulina)* jest to brzydkie, niezgrabne zwierzę. Włos jej barwy żółtawo-siwej w brunatne plamy, nogi przednie krótkie, zadnie poziomo w tył zwrócone, a głos przypomina ochrypłe szczekanie brysia, skąd poszła nazwa „psa morskiego“. Z wielu gatunków tego zwierzęcia dwa tylko znane są w północnej Grenlandyi, t. j. „necyk“ i „uzuk“. Necyk jest mniejszy. Głowa jego jest niewielka, okrągła, podobna do głowy ludzkiej bez nosa, mięso rozlazłe, wiotkie, niejędrne, jak gdyby nie miało ani muskułów, ani żył, o woni nieprzyjemnej. Smak ten jednak i zapach nie rażą wcale Eskimosów i mięso takie wolą oni nawet, niż mięso rena. Ugotowane nabiera ciemnej barwy. Surowe jest lepsze, a szczególnie mięso samicy jest delikatne i słodkawe. Gdy się raz przezwycięży wstręt do woni tego mięsa, to można mieć zeń bardzo dobry i pożywny pokarm.

Necyk robi sobie małe otwory w lodzie, przez które oddycha. Lód jednak, który on przewierca, nie może być więcej jak roczny, t. j. nie bardzo gruby, gdyż dwuletni jest zazwyczaj 10 stóp gruby, a taki już nie łatwo przełamać.

Polowanie na fokę nie jest tak uciążliwe, jak na inne zwierzęta północy, w lecie zwłaszcza, gdy słońce trochę

przygrzewa, jest ono nawet łatwem, gdyż zwierz wygrzewa się spokojnie na brzegu, a promienie słoneczne prawie zupełnie go oślepiają. Nie trudno więc myśliwemu podejść go i ubić włócznią lub harpunem.

Polują także na foki w ten sposób, iż myśliwiec ukrywa się pod skórę niedźwiedzia białego na saniach, a ponieważ skóra ta co do barwy nie wiele się różni od śniegu więc też myśliwy może łatwo podjechać fokę i ubić ją, zwłaszcza, że zwierz ten wcale nie jest płochym.

Skóra foki ma małą wartość, a czasami jest wcale nie do użycia. O wiele więcej ma wartości tłuszcz, gdyż dostarcza stosunkowo dużo tranu.

Drugi gatunek tego zwierza, uzuk, który dla swej długiej brody zwany jest foką brodatą *(Phoca barbata)* jest o wiele większy, niż pierwszy i dochodzi długości 10 stóp. Jest on więcej ociężałym i można by go łatwo wziąć za morsa, gdyby nie brak kłów. Uzuk trzyma się pojedynczo lub parami, podczas gdy necyki całemi gromadami około swych przerębli przebywają. Podczas ciężkiej zimy wędrują foki na południe, z wiosną jednak powracają do swych stron. Uzuk pojawia się zwykle później niż necyk.

Z wielką niecierpliwością wyczekuje zwykle Eskimos powrotu foki brodatej, nie dla mięsa, gdyż nie jest ono wcale dobrem, lecz dla skóry, która mu bardzo jest przydatną, gdyż odznacza się niezwykłą siłą, rozciągłością i trwałością obok miękkości i lekkości. Eskimos potrzebuje jej do wyrobu uprzęży do sani i na rzemienie, których mu do owiązywania broni, narzędzi i t. p. potrzeba. Rzemienie z tej skóry są lepsze, niż ze skóry morsa. Przed użyciem żują kobiety Eskimosów rzemienie te w zębach, by im nadać elastyczności i giętkości, następnie zaś smarują je tłuszczem.

O wiele wspanialszem zwierzem niż foka, jest mors, zwany także koniem morskim *(Trichechus rosmarus)*, czyli jako go krajowcy nazywają „awuk“. Jest to dzikie i drapieżne zwierzę. Nogi przednie ma takie jak foka, ogon jednak o wiele większy i silniejszy. Cały pysk okala długa, stercząca broda, a wielkie, wystające kły dodają zwierzęciu więcej grozy i powagi. Kły te są około 30 cali długie i mają u nasady około 4 cali średnicy. Sam zwierz dochodzi zwykle 18 stóp długości, w obwodzie zaś miewa czasami i 10 stóp. Mówią, iż zwierzę to podobne jest z twarzy do człowieka, lecz dość popatrzeć na głowę zwierza, aby znaleść ogromną różnicę.

Głos morsa jest podobny do głosu foki, brzmi jednak o wiele groźniej.

W wyłamywaniu otworów w lodzie w celu oddychania, jest mors podobny do foki, z tą tylko różnicą, iż potrafi przebić lód, mający 10—15 stóp grubości. Zwykle przebywa on na powierzchni wody, ale nigdy nie oddala się zbyt daleko od swego zwykłego miejsca pobytu.

Polowanie na morsa jest bardzo niebezpieczne, a Eskimosi nigdy się pojedynczo nie wyprawiają na nie, lecz zawsze w kilku razem. Na polowanie takie wyjeżdżają saniami. Aby się dowiedzieć, gdzie morsy przebywają, muszą oni w futrzanych kapuzach na głowie przykładać ucho do ziemi, a raczej do lodu, czy przypadkiem nie usłyszą gdzie krótkiego, urywanego szczekania morsa. Gdy je usłyszą, wnet spieszą z szybkością wichru w tym kierunku. Zwykle zastają dziesięć lub więcej morsów razem, gdyż są to zwierzęta bardzo towarzyskie.

Gdy się myśliwiec już dość blisko podsunie do morsa, wtedy wyskakuje ze sani. Jeśli mors znajduje się na powierzchni wody, wówczas myśliwy kładzie się na ziemi po za jakąś bryłą lodu, by się ukryć przed zwierzem. Zaledwie się jednak mors zanurzy pod wodę, myśliwy, korzystając z chwili, zbliża się do niego. Do takiej strategii potrzeba wszakże niesłychanej cierpliwości, wiele zręczności i przebiegłości. Zazwyczaj wie Eskimos, jak długo mors wytrzymuje pod wodą, i do tego się też stosuje. Wreszcie zbliża się myśliwy do swego spodziewanego łupu. Lód tutaj z powodu ciągłego przebywania morsów, pozałamywany lub też tak cienki, że zaledwie jednego człowieka udźwignąć może.

Skoro się myśliwy już dostatecznie zbliży, rozpoczyna się właściwe polowanie. Z harpunem, uwiązanym na długiej linewce lub rzemieniu, czeka myśliwy stosownej chwili. Mors wypręża się i zagląda ciekawie, chcąc poznać zamiary myśliwego i tej właśnie chwili używa Eskimos, by harpun rzucić i ugodzić zwierza. Zwykle zwierz zraniony usiłuje ujść pod wodę, lecz Eskimos z nadzwyczajną szybkością zwija rzemień, na którym harpun jest uwiązany i przytwierdza do okutego drąga, wbitego w grubą warstwę lodu. Mors jednak długo jeszcze usiłuje się bronić; wypływa na wierzch i chce zerwać linę, przywiązaną do okutego drąga. Ta jednak zwykle opiera się sile zranionego zwierza. Wreszcie usiłuje mors ścigać nieprzyjaciela, lecz i to nadaremnie, bo zwykle lód załamuje się pod ciężarem i zwierzę zanurza się znów pod wodę. Urywane szczekanie zmienia się w groźny ryk, piana toczy się mu z pyska i nagle, zanurzywszy się resztkami swych sił, przełamuje lód w tem miejscu, gdzie stał myśliwy, chcąc go w ten sposób zgubić. Eskimos jednak, przewidziawszy zamiary morsa, odbiegł już dalej od tego miejsca i linewkę z drągiem wbił już w inną szparę. To gruchotanie lodu przez zranionego morsa powtarza się dopóty, dopóki mu siły starczą. Trwa to nieraz kilka godzin. Wreszcie otrzymuje mors ostatni cios i polowanie się kończy...

Do polowania na morsa potrzeba koniecznie kilku myśliwych, gdyż jednemu trudno by było wyciągnąć na brzeg takiego kolosa, jak cielsko morsa, które waży nieraz 800 do 1.100 funtów. Aby go na brzeg wydostać, przeciągają Eskimosi pod skórę na karku morsa rzemienie i zapomocą tychże, zrobiwszy blok z kła samegoż morsa, wyciągają go na brzeg.

Kły morsa są nadzwyczaj silne. Używa on ich przy wdrapywaniu się na góry lodowe, lub też złażeniu po śliskim lodzie i śniegu.

Najsilniejszym i najwspanialszym jest mors brunatny. Często trzeba i 70 silnych pchnięć włóczni, aby go powalić. Rzuca się on często na człowieka, podobnie jak tygrys w Indyach. Nawet w największem niebezpieczeństwie nie okazuje wcale bojaźni, i to właśnie potęguje jego dzikość i gwałtowność. Eskimosi zaś nie tyle zwyciężają go siłą i odwagą, ile podstępem i przebiegłością.

Mors trzyma się zwykle arktycznych okolic i tylko, gdy lód dochodzi 20 stóp grubości, uchodzi ku południowi. W grudniu i styczniu znajdują się morsy zazwyczaj pod 70° północnej szerokości.

Grenlandczycy używają prawie cały rok mięsa morsa, jako jedynego stałego pożywienia. Zdarza się często, iż na jakiś czas znikają z niektórych okolic reny, że gdzieś ukrywają się starannie niedźwiedzie i lisy, morsa jednak przez cały rok spotkać można.

Mięso morsa nie jest wcale złem, a kawałek wątroby morsa, stosownie przyprawionej, to przysmak, którym nawet wykwintny Europejczyk nie pogardzi. Polowania na morsy poczynają się zwykle w marcu, najobfitsze jednak bywają w maju, wtedy bowiem morsy przebywają gromadnie, łatwo więc na nie polować. *J. St.*

KORESPONDENCYE.

Śniatynka d. 19. listopada.

(Wspomnienie o śp. Józefie Brunickim.)

Jak w kalejdoskopie rozmaitość kolorów, tak na drabinie społecznej dążeń ludzkich, rozmaitość celów, charakterów i usposobień indywidualnych w barwną układa się całość; jedni na szczycie już, błyszczą zdobytem stanowiskiem w oczach często krótkowidzącej ludzkości, czy wobec bezwzględnej prawdy i sprawiedliwości, to pytanie? Drudzy, w połowie drogi, prą się ku górze często strącani przez silniejszych; inni, pozornie na dole, choć ich mało kto widzi, prawością życia i skromnością są jako te ziarna piasku, które same są niby niczem, ale których suma tworzy pokład rzeczywisty — pewny, na którym jedynie budować można.

Jednym z takich był śp. Józef Brunicki. W skromnym małym domku swoim w Bereźnicy mieszkał jak niewidzialna mrówka w swojej pracowni, ale też jak ta mała mróweczka, pracą i obowiązkowością za wzór służyć mogąca, całe życie budował, nigdy nie burzył, zawsze koił i łączył, nigdy nie rozstrajał.

Wszystko to, co powyżej napisano, właściwie nie kwalifikuje się do *Łowca*, a na prawdę nie kwalifikowałoby się do zagranicznych pism łowieckich, u nas jednak w Polsce pozbawionej politycznego bytu, wszystkie kwestye mieścić muszą coś choć trochę z polityki, a wspomnieć o myśliwym bez charakteru dobrego obywatela nie warto, bo tam, gdzie mało zostało, i najmniejsza okruszyna jest mieniem narodowem, to mienie zapisać w księdze rachunków narodowych jako „habet“ godzi się i należy, dla pamięci zgasłych i przykładu żyjących.

Kto znał knieję Bereźnicy, kto znał ład i porządek w niej wtedy, kiedy o towarzystwach łowieckich i o ustawach nikt jeszcze w kraju nie myślał, ten musi na świeżą mogiłę śp. Józefa rzucić gałązkę zieloną miłych i drogich wspomnień. Podpisany tak jak i wielu innych, którzy w tej kniei i pod tym kierunkiem uczyli się, czem jest racyonalne i porządne myśliwstwo, gałązkę tę składa z rzewnem uczuciem żałości i uszanowania. Ludzie, którzy do form zwykle więcej, niż do rzeczywistości przywiązują wagi, ludzie, którzy wolą krytykować, niż żyć według zasad, bo to łatwiej — często z ironicznym uśmiechem popatrzyli na człowieka, który mimo dostatku, zdobytego rachunkiem i oszczędnością, żył skromnie i nigdy nie wychodził po za „groblę swego stawu“ z zasady; — a jednak po tym człowieku został pomnik trwalszy od granitów: dobroczynne fundacye, żal w sercu włościan, tworzących z nim jedną gminę (bez obszaru dworskiego) i ziemia cała dobrze zagospodarowana, bez grosza długu, a dla myśliwych knieja pełna zwierzyny. „Po czynach ich, poznacie ich“ w pełni da się zastosować do życia śp. Józefa Brunickiego.

Cześć pamięci wzorowego obywatela, cześć i żal za życiem jednego z najstarszych i najlepszych myśliwych!

Stanisław Tarnowski.

Z pod Stanisławowa d. 3. listopada.

(Piękne łowy.)

Na czterech polowaniach, odbytych dzień po dniu w ostatnim tygodniu w lasach Chomiakowieckich, ubito cztery dziki, tyleż kozłów, 5 lisów, 1 orła, 2 słonki, 1 kunę leśną i 84 zajęcy, razem 101 sztuk, liczbę iście cesarską wobec nadzwyczaj smutnych stosunków łowieckich naszej okolicy.

Rezultat co do ilości ubitych zajęcy byłby z pewnością świetniejszym, gdyby nie to, iż dzień po dniu i po trzykroć z rzędu brano mioty, w których zapadły dziki.

W lasach Chomiakowieckich, należących do p. Karoliny hr. Hussarzewskiej, panuje wzorowa gospodarka myśliwska, którą tem trudniej utrzymać, iż kłusownicy stanisławowscy, należący niestety do inteligencyi, a zasługujący wobec nieszanowania ustaw myśliwskich na nazwę drapieżnych rabusiów, wszelkimi godziwymi i nigodziwymi środkami starają się o dobre oprocentowanie prochu i śrótu.

Nie dziwna to rzecz, gdy wieśniak ciemny a głodny staje się kłusownikiem, lecz smutne to, gdy ludzie, zajmujący nawet uprzywilejowane w społeczeństwie stanowiska, puszczają się z pominięciem wszelkich ustaw na zdobycie zwierzyny.

Znanym jest fakt w okolicy naszej, iż roku zeszłego pewni myśliwi nasi ubili sporą liczbę sarn, a gdy im tych w rewirze granicznym, przez nich dzierżawionym zabrakło, urządzali sobie zasiadki na wychodnego na granicach sąsiedzkich!

Właścicielka Chomiakówki jest sama lubowniczką polowania i temu należy zawdzięczyć, że w okolicy naszej są rewiry Chomiakowieckie niejako „matecznikiem“ zwierzyny.

W polowaniach brały udział i panie. Pani hr. Hussarzewska ubiła ze zwierzyny, należącej do wyższych łowów, dzika, a córka jej, księżna ordynatowa Lubomirska z zwierzyny średniej trzy kozły.

Naturalnie do sarn, których jest z pewnością w Chomiakowieckim kluczu przeszło sto, nie padł ani jeden strzał; myśliwi puścili raczej nie strzelanych a nie poznanych kilka kozłów, niżby mieli popełnić omyłkę, niestety tak chętnie i często popełnianą przez niektórych Nimrodów stanisławowskich.

Prócz lasów chomiakowieckich na pochlebną wzmiankę zasługują dworskie rewiry w Kłubowcach, Podpieczarach i Pałahiczach, gdzie zwierzyna doznaje również szczególnej opieki.

X.

Rajtarowice 24. listopada.

(Rzadkie okazy łowieckie.)

Dnia 22. b. m., chcąc zapolować wyłącznie na zające, wybraliśmy się w trzy strzelby w las, obrawszy sobie zapusty kilkoletnie, graniczące z trzech stron od pola. Lecz, że tu spotykano i dziki w jednym kilkomorgowym miocie, wzięliśmy go najpierw. Gdy tylko nagonka ruszyła, myśliwy stojący na flance usłyszał łomot i trzask suchych gałązek i ujrzał równocześnie ogromnego dzika. Padł strzał jeden i drugi, dzik siadł na zadzie, lecz po danym jeszcze jednym strzale, wstał i wolnym krokiem szedł dalej. Dopiero po celnym strzale, danym przez Wgo Macieja Serwatowskiego, uszedłszy kilka kroków padł.

Dzik — odyniec — był cały jasno-siwy, nogi wszystkie białe do kolan, a ważył przed wypatroszeniem 200 kilogramów.

Przez całą jesień był ten dzik postrachem włościan i straży polowej, niszcząc zboże i ziemniaki; spędzony z pól,

wracał i gonił za ludźmi. Pamiątkę na ten rok zostawił po sobie dobrą, bo nie masz ani jednej drogi polowej, ani jednej miedzy, którąby nie była przez niego zrytą i zniszczoną.

Drugi ciekawy fakt zdarzył się d. 22. października. Chłopcy pasący bydło, ujrzeli dużego, białego ptaka, a myśląc, że to gęś, podeszli i zabili go kijami. Działo się to blizko folwarku. Spostrzegł to ekonom, odebrał go i odesłał do dworu. Pokazało się, że był to duży i bardzo ładny łabędź. Co spowodowało, że tak osłabł, dając się zabić kijami, niewiadomo. Postrzału nie widać było żadnego. Łabędź został wypchany. *J. W.*

Z nad brzegów Świcy w listopadzie.

(Walka o byt.)

Wiedząc, że według staropolskiej przypowieści najlepszymi są:

„Na pajuka chłop Mazurek,
Na wierzchowca koń turek —“

przyjąłem na woźnicę Mazura, jak to mówią „z pod ciemnej gwiazdy“.

Otóż w czasie obiadu wpada nagle Mazur i woła:

— Panie! „jostrzek“ wzion kurczoka!

— To było ci odebrać — rzekłem.

— Aha, kiedy polecioł!

Pokazało się, że „jastrzek“ nazywa się w jego stronach rodzinnych jastrząb. Chwytam tedy za dubeltówkę, staruszkę... Ach! jakże nieszczęśliwie wyglądała od wyjazdu chłopców z wakacyi! Zafolowana, zardzewiała, stępel złamany. Nabiłem ją jakoś i wybiegam. Jastrząb zaniósł kurczaka na pobliski pagórek i począł operować. Podchodzę — lecz skoro mnie spostrzegł „kuropłoszek“, poderwał się z miejsca, unosząc z sobą kurczaka.

Naraz, podczas lotu jastrzębia dziwna zaszła zmiana. Drugi jastrząb, jak się później pokazało, sokół właściwy, jak błyskawica spadł na jastrzębia, swoim obyczajem topiąc swe szpony w krzyżach, a ostry dziób w głowie jego. Naprzód padł na ziemię martwy kurczak, po nim zaś obaj adwersarze. Podbiegam — sokół, zatopiwszy zbyt głęboko szpony w ciele jastrzębia, nie zdołał ich wydobyć, więc oba ptaki żywcem ująłem. Jastrząb zdechł po paru dniach w skutek ran, a sokoła upiąwszy na łańcuszek, trzymałem na improwizowanem „berle“.

Sokół początkowo bardzo był dziki, dwa dni nic jeść nie chciał, teraz już je wróble, którymi go żywię.

Dodam, że nie zawsze duży wzrost ma oznaczać dużą siłę. Jastrząb niemal o połowę większy od sokoła, a przecież uległ zwinności i odwadze ostatniego. *G. S.*

Warszawa d. 18. listopada.

(Wojskowe komendy myśliwskie.)

Wiecie już nieco o komendach myśliwskich w wojsku. Otóż rzecz ta została uregulowaną. W numerze „Zbioru praw i rozporządzeń rządu“ z d. 30. października (11. listopada) zamieszczono zatwierdzone statuty o wojskowych komendach myśliwskich.

We wstępie do prawa rzeczonego powiedziano, że wojskowe komendy myśliwskie organizują się w celu wyrobienia zawczasu ludzi, którzyby w czasie wojny mogli wykonywać zlecenia połączone z niebezpieczeństwem lub wymagające specyalnej przytomności, przebiegłości lub przedsiębiorczości. W tym celu do komend myśliwskich mają być dobierani w piechocie dobrzy strzelcy, zaś w kawaleryi dobrzy jeźdźcy. Komendy mają być organizowane w każdym oddziale wojsk, wszakże do komendy nie należy brać więcej nad czterech ludzi z roty, szwadronu, sotni lub bateryi.

Zadaniem komend ma być w oddziałach piechoty polowanie z bronią na zwierzęta drapieżne, zaś w oddziałach kawaleryi — polowanie z chartami. Polowanie winno być zawsze połączone z obowiązkiem zapoznawania się z miejscowością i badaniem jej w różnych kierunkach. W razie zaś, gdyby dany oddział wojsk nie mógł, z powodu warunków miejscowych, oddawać się polowaniu, wówczas żołnierze, należący do komendy myśliwskiej, winni być używani do czynności, wymagających sprytu i zręczności. A więc mają być posyłani na dalsze przemarsze, dla zapoznawania się z miejscowością tak w dzień, jakoteż i w nocy, i opisywania miejscowości; mają oddawać się pływaniu, w kawaleryi konno, sterowaniu łodzią, rybołostwu i t. p. ćwiczeniom. Na zorganizowanie komend myśliwskich, tj. nabycie broni, psów lub innych potrzebnych, stosownie do warunków danej miejscowości przyrządów, przeznaczono z funduszów gospodarczych danego oddziału wojsk jednorazowo 500 rs. na pułk, 200 rs., na szwadron i 100 rs. na bateryę.

Co zaś do miejsc, w których polowania mają się odbywać, to stosownie do wskazówek naczelnej władzy wojskowej, mają być obierane lasy prywatne, należące do różnych instytucyj i rządowe. Polowania w lasach, stanowiących własność prywatną, mogą mieć miejsce tylko po poprzedniem otrzymaniu stosownego pozwolenia właściciela lub administratora dóbr. W lasach rządowych po porozumieniu się z zarządami lasów, ale bezpłatnie i w każdej porze roku, z wyjątkiem zadrzewień sosnowych, w których użycie broni palnej zabrania się w czasie pomiędzy 15. (27.) marca, a 15. (27.) listopada. Polowanie w lasach rządowych pojedynczo, przez osoby, należące do składu komend myśliwskich, ulega wszelkim przepisom i zastrzeżeniom, wprowadzonym w poszczególnych zarządach ministeryum dóbr państwa. Wreszcie przepisy powyższe dotyczą i księstwa Finlandzkiego, z tem wszakże zastrzeżeniem, że muszą być uwzględnione wymagania prawodawcze, obowiązujące w księstwie.

Jak widzimy, przepisy powyższe uwzględniają najzupełniej prawa własności prywatnej i mylnemi były pogłoski, jakoby w przewidywanych przepisach o komendach myśliwskich miało to być pominiętem.

W prawie wyraźnie powiedziano, że polowanie w lasach prywatną własność stanowiących, może mieć miejsce tylko za zgodą właściciela i to nie bezpłatnie, bo bezpłatnie komendy mogą oddawać się polowaniu tylko w lasach rządowych. Wątpliwości więc pod tym względem prawo nie przedstawia, choć zawsze budzi w zamiłowanych myśliwych nie bezzasadne obawy. czy mimo wszelkich zastrzeżeń, nie spowoduje ono nadmiernego tępienia zwierząt łownych.

S.

Sprawozdania łowieckie.

— W Chrobrzu, w Królestwie polskiem, w lasach margrabiego Zygmunta Wielopolskiego, odbyły się pięciodniowe polowania, w których brało udział 15 myśliwych. Wynik polowania był wcale świetny, padło bowiem 817 zajęcy, 13 bażantów, 3 rogacze, 1 lis, 3 różne zwierzęta, razem przeto 837 sztuk. Czas był dżdżysty, mglisty i na polach nie można było polować, pomimo tego rezultat powyższy mógł zadowolić najwybredniejszych myśliwych. Wielka w tem zasługa administracyi leśnej, wypełniającej sumiennie rozkazy swego pana. *S.*

— W Oleszycach od 1. lipca 1888. do 1. lipca 1889. ubito: 5 rogaczy, 38 zajęcy, 18 kuropatw, 1 kaczkę, 51 przepiórek, 12 chruścieli, 4 słonek, 41 lisów, 7 borsuków, 76 psów, 217 kotów, 4 kun, 13 łasic, 123 jastrzębi, 209 wron, 9 srok. Straszny to obraz, uwydatniający, jak liche są w naszych stronach polowania. Niszczy się zwierzynę drapieżną, ubija szkodniki, a pomimo tego i do lichego stanu zwierzyny dojść trudno. Aby jeszcze bardziej uwydatnić lichy rezultat, podać muszę, iż wykazana zwierzyna ubitą została częścią w moich lasach, częścią na gruntach gminnych, na których w dziesięciu gminach dzierżawię polowanie.

Władysław Sapieha.

KRONIKA.

Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego odbył w ubiegłym miesiącu trzy posiedzenia, na których zajmował się sprawami większej wagi.

Na posiedzeniu z d. 11. listopada postanowiono przedewszystkiem na podstawie §. 8. al. 2. statutu uzupełnić zastępcami liczbę członków Wydziału, uszczuploną jużto przez ustąpienie niektórych członków, jużto przez śmierć śp. Edwarda Simona.

W skutek rezygnacyi członków Wydziału pp. Władysława i Zygmunta Rygiera, dr. Krattera i p. Komorowskiego uchwalił Wydział powołać na członków Wydziału pp.: Andrzeja ks. Lubomirskiego, Zygmunta Dembowskiego, Stanisława Matkowskiego, Franciszka Strzelbickiego, Edwarda Oczosalskiego i Edwarda Ziegelbauera.

Na posiedzeniu z d. 19. listopada zapadły następujące uchwały:

1. Wybrać subkomitet celem opracowania programu wystawy łowieckiej galicyjskiej, jako osobnego działu na wystawie wiedeńskiej rolniczo-leśnej w r. 1890., i przeprowadzanie korespondencyi z eksponentami. Na przewodniczącego uchwalono uprosić JE. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, a na członków pp: hr. Szembeka, Glanza, Starkla, i Zontaka..

2. Prosić Prezesa Towarzystwa, aby, dobrawszy sobie jednego lub dwu członków Wydziału, udał się do p. namiestnika z prośbą, aby Towarzystwo łowieckie nie było pominięte przy zebrać się mającej ankiecie, w celu obradowania nad kodeksem łowieckim.

3. Wystosować odezwę do delegatów Towarzystwa w *Łowcu*, aby raczyli redakcyę tegoż zasilać wiadomościami potocznemi z życia myśliwskiego.

Na posiedzeniu z d. 26. listopada uchwalono:

1. Aby mający się urządzić dział galicyjski na wystawie wiedeńskiej nosił na sobie cechę wystawy łowiecko-rybackiej. W tym celu poleca się subkomitetowi wejść w porozumienie z krakowskiem Towarzystwem rybackiem i znawcami na tem polu.

2. Upraszać posiadających cenniejsze trofea myśliwskie, rynsztunki i okazy broni, o powierzenie Wydziałowi tychże na wystawę i upoważnić członków Wydziału w ogóle, aby się starali prywatnie o przedmioty, mogące się przyczynić do zasilenia wystawy. Toż samo postanowiono starać się o przedmioty, służące do dekoracyi wystawy, jak sztychy i obrazy łowieckie, tudzież okazy z literatury łowieckiej.

3. Wystosować wezwanie do delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego, ażeby dołożyli wszelkich starań co do zebrania między miłośnikami łowiectwa okazów, kwalifikujących się na wystawę łowiecką i bezustannego znoszenia się w tej mierze z sekretaryatem gal. Towarzystwa łowieckiego, który poda później termin ostateczny, do którego okazy na wystawę będą musiały być nadesłane.

Odezwa do delegatów brzmi jak następuje:

Do Pp. delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego.

W lipcu roku ubiegłego rozesłał Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego pp. Delegatom drukowane formularze wraz z instrukcyą, nakładając na nich obowiązek, ażeby raczyli daty statystyczne, tyczące się łowiectwa w ich okręgu zbierać, zaciągać je do przesłanych tabel i takowe Wydziałowi nadsyłać. Co do formularza *B.*, mającego na celu doraźne zapiski i ciekawsze wypadki z łowów, raczyło wielu pp. delegatów zrobić z niego użytek, a relacye, nadsyłane do Sekretaryatu Towarzystwa, były z całą skwapliwością przez Redakcyę *Łowca* zużytkowane.

Właściwych atoli wykazów statystycznych (na formularzu *A.*), które miały posłużyć do zestawienia o ile możności całkowitego obrazu gospodarki łowieckiej w kraju, otrzymał Wydział bardzo mało, pomimo, iż wedle instrukcyi, powinny były dwa razy w ciągu ubiegłego roku być nadesłane. Z tych co nadeszły, nie podobna fragmentarycznego nawet obrazu statystyki łowieckiej sporządzić, a tem mniej mapy wykazującej osiedlenie i gęstość zwierząt łownych w poszczególnych okręgach kraju, do czego Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego zmierzał.

Brak tych dat daje się Wydziałowi czuć przedewszystkiem w tej chwili, gdy ma przystąpić w łączności z JE. hr. Włodzimierzem Dzieduszyckim do urządzenia *galicyjskiej wystawy łowieckiej* w Wiedniu, jako osobnego oddziału na przygotowanej tam na r. 1890. wystawie rolniczej.

Zestawienie odnośnych dat statystycznych wchodzi w program tej wystawy i staje się niezbędnem; Wydział Towarzystwa zwraca się więc ponownie z jak najusilniejszą prośbą do pp. Delegatów, *ażeby raczyli jak najspieszniej wykazy statystyczne* (wedle formularza *A.*) *za bieżący rok, tak z uwzględnieniem pory wiosennej jak i mijającego właśnie sezonu jesiennego zestawić i nadesłać.* Rozumie się samo przez się, iż jak najczęstsze oprócz tego nadsyłanie relacyi z łowów i ciekawszych spostrzeżeń (wedle formularza *B.*) jest niezbędne, jako materyał redakcyjny dla *Łowca.*

Upraszamy oraz W. Pana, ażebyś raczył uwiadomić nas oddzielnie, czy okręg tamtejszy nie posiada jakich szczególniejszych i godnych wystawienia przedmiotów z zakresu łowiectwa, jak np. rzadkich trofeów myśliwskich, (rogów, myłkusów, głów i całych zwierząt wypchanych, okazów kopalnych); wyjątkowo pięknej i ciekawej broni i w ogóle okazów rynsztunku myśliwskiego, mającego znaczenie dla historyi myśliwstwa lub dzisiejszej jego uprawy; rzadkich rycin, obrazów i dzieł, ilustrujących sceny i sposoby polowania; wreszcie okazów etnograficzno-łowieckiej wartości, charakteryzujących sposoby polowania i rybołowstwa, rozpowszechnionych między naszym ludem i używanych przez kłusowników, jak np. paście, samołówki, sidła, oście, więcierze, saki i t. p.

Gdybyś W. Pan albo sam podobne, szczególniej na uwagę zasługujące i wystawienia godne przedmioty posiadał, lub wiedział u kogo się znajdują, raczysz Sekretaryatowi gal. Towarzystwa łowieckiego (Lwów, ul. Teatralna l. 18.) podać blisze szczegóły, a względnie wejść z nim w porozumienie co do ewentualnego użycia ich dla zbiorowej wystawy łowieckiej z naszego kraju.

Z Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego.

We Lwowie, dnia 29. listopada 1889.

Roman hr. Potocki.

Dworskie łowy. Wynik dworskich łowów od 2. do 7. października w okręgu myśliwskim Neuberg-Mürzsteg, jest wedle urzędowego raportu następujący

Cesarz ubił 1 szesnastaka, 1 dwunastaka, 3 dziesiątaki, 2 ósmaki, 2 szóstaki, 1 szpiczaka i 2 kozice, samce. Wraz z zwierzyną, zastrzeloną przez innych uczestników łowów, naliczono na pokładzie 60 sztuk zwierzyny, a mianowicie: 2 szesnastaki, 1 czernastaka, 7 dwunastaków, 15 dziesiątaków, 9 ósmaków, 4 szóstaki, 2 szpiczaki, tj. zazem 40 jeleni, 13 kozic (samców) i 4 kozic (samic) 1 kozła i 1 lisa.

Dnia 18. listopada b. r. polował cesarz wraz z arcyks. Leopoldem, hr. Perponcher, hr. Paarem, adjutantami Gieslem i Potewem, lekarzem nadwornym, dr. Kerzlem i innymi osobami z dworu Gödölskiego w lasach Kerepeskich na Węgrzech. Polowanie było z nagonką Wzięto 17 miotów i ubito 6 kozłów, 4 lisy, 158 zajęcy, 109 bażantów i 8 kuropatw.

Nazajutrz polował cesarz w lasach Babotskich.

Polowania dworskie w rewirach Breitensee, Waidau i Trumau, w których brali udział ks. Konstanty Hohenlohe, ambasadorowie ks. Reuss, sir Paget, Don Merry del Val, hr. Bray-Steinburg, dalej ks. Reuss XIII., ks. Liechtenstein, hr. hr. Wodzicki, Wolkenstein, Beust i Hardegg, wydały bardzo bogaty rezultat. Padło 2.550 zajęcy i 40 kuropatw.

Gołąb z listem cesarzowej. Pewien włościanin z Rogoźnicy pod Sebenico (w Dalmacyi) zastrzelił w ubiegłym miesiącu gołębia, a gdy pod szyją jego spostrzegł list, odniósł gołębia do urzędu powiatowego w Sebenico. List, który był pisany po węgiersku, przez 6 dni leżał, nie zwracając na siebie uwagi, i dopiero wtedy wręczono go namiestnictwu. Z osnowy listu okazało się, że gołąb pochodził z Poli i był jednym z gołębi pocztowych w usługach marynarki. Gdy cesarzowa jechała do Korfu, urząd telegraficzny w Pola wziął do siebie gołębia. Podczas podróży wypuszczony został z jachtu „Miramar“, aby pozdrowienie cesarzowej dla arcyksiężniczki Waleryi zanieść do urzędu telegraficznego w Poli, celem przesłania go telegraficznie do Gödölö.

W Monzy, rezydencyi królestwa włoskich, odbyło się d. 13. listopada, w czasie pobytu cesarza niemieckiego tamże, polowanie na bażanty. Do godziny 5. po południu ubito 800 sztuk.

Z łowów cesarza niemieckiego. W dniach 28. i 29. listopada b. r. polował cesarz Wilhelm w kniei pszczyńskiej na Szlązku. Przybywszy do Pszczyna (Pless) osobnym pociągiem po 8. godzinie rano, udał się powozem wprost do kniei w towarzystwie kilkunastu przybyłych z nim gości i zaproszonych dygnitarzy krajowych. Przebywszy park książęcy, stanęli myśliwi w Czarnych Dołach, przeznaczonych na pierwszy dzień polowania. Dzień był zimny, dość pogodny; po dwudniowem padaniu śniegu, chwycił mróz 8-stopniowy. Polowano z nagonką, złożoną z 700 ludzi. Rzecz szczególna, że do nagonki zgłaszali się nawet bardzo poważni ludzie, żeby tylko widzieć z bliska cesarza, ale nie zostali dopuszczeni. Wynik polowania był zadowalniający; padło 688 zajęcy, 3 sarny, 765 bażantów, 25 kuropatw, 3 sojki, 1 sowa i 1 wrona. Z tego ubił cesarz Wilhelm 146 zajęcy, 2 sarny, 243 bażantów, 7 kuropatw, 3 sojki i wronę, tj. razem 403 sztuk.

Następnego dnia, w piątek, po przenocowaniu w zamku pszczyńskim, rozpoczęto łowy w starej bażantarni, poczem całe grono myśliwych udało się przez Porębę do nowej bażantarni, gdzie wyłącznie do bażantów strzelano. Cesarz opuścił już miejsce łowów w południe i około pół do 2. wyjechał koleją ku Katowicom; łowy trwały jednak dalej. Oprócz bażantów dostał niestety śrótem w ramię także i leśniczy z dóbr książęcych.

Wydatne łowy. W St. Johann nad Morawą, w jednym z rewirów, obfitujących najbardziej w kuropatwy, polował we wrześniu bar. Hirsch w towarzystwie trzech myśliwców, a między nimi sławnych łowców, lorda Grey i hr. Lamberti, i w ciągu dwóch dni ubili niezwykłą ilość 2.678 kuropatw.

Pod Karolyfalva na Węgrzech powiodło się jeszcze lepiej hr. Kazimierzowi Zichy. W ciągu jednego dnia a względnie jedenastu godzin zastrzelił 360 przepiórek.

Zaraza na jelenie, grożąca zupełnem ich wyplenieniem, wybuchła w komitatach węgierskich, przylegających do Dolnej Austryi.

Energia służby leśnej. Kilka osób z Warszawy — pisze *Słowo* — polowało w d. 16. października w okolicach Łowicza. Nagle zjawia się strażnik ziemski i żąda okazania biletów na prawo utrzymywania broni i prawo polowania. Jeden z myśliwych nazwał się generałem i oświadczył strażnikowi, że nie ma prawa żądać od niego biletu, lecz mimo to, pokazał, co też uczynił i p. Cz.; trzeci z myśliwych, p. O., nie posiadał przy sobie biletów, strażnik więc żądał oddania broni. Wówczas — jak pisze *Warsz. Dniew.* — wszyscy trzej myśliwi schwycili strażnika za kołnierz szynela i zaczęli go potrząsać, ale widząc zbliżających się włościan, puścili go. Przy pomocy włościan strażnik sprowadził wszystkich trzech myśliwych do urzędu gminnego w Łyszkowicach, gdzie p. O. zabrano broń i spisano protokół w celu pociągnięcia do odpowiedzialności wszystkich trzech myśliwych za znieważenie strażnika podczas pełnienia obowiązków służbowych.

Wilki. Wedle czerniowieckiej *Gazety polskiej*, w bieżącej jesieni obfituje Bukowina w wilki, które włóczą się gromadnie po polach i podchodzą nawet we dnie pod ludzkie mieszkania. Kilka tych drapieżców pojawiło się pod miasteczkiem Gurahumora i porwało igrające na gościńcu półtoraroczne dziecię włościanina, Jana Makowejczuka. Kilku włościan, spostrzegłszy ten napad, puściło się za wilkami w pogoń. Postarano się nawet o kilka strzelb i dawano nieustannie ognia, jednak niecelnie, z powodu zapadłego zmroku. Wilki cofały się. jak dobrze wyćwiczony w strategii oddział wojskowy, i pod kanonadą strzałów rozszarpały na drobne kawałki ciało porwanego dziecięcia.

W Majdanie na Bukowinie i w Ruwnie obok Berhometu udusiły wilki 22 owiec.

Obfitością niezwykłą niedźwiedzi poszczycić się mogą tego roku Węgry. Borgoyrundzka spółka myśliwska na Węgrzech — jeśli można wierzyć zgodnym relacyom poważnych pism — polując w komitacie Bystrzycko-Naszodzkim, w głębokim rewirze górskim, napotkała w ciągu dwudniowego polowania d w a d z i e ś c i a j e d e n niedźwiedzi i j e d e n a ś c i e z nich ubiła!

Około Borgo, miejscowości położonej na granicy Siedmiogrodu i Bukowiny, padło s z e ś ć niedźwiedzi w ciągu kilkodniowego polowania z nagonką.

W Gömörskim komitacie zastrzelił baron Vay wielką bardzo niedźwiedzicę, która na niego z dwoma piastunami wyszła.

Walka mysiów z żandarmami. Z Bieliny, w Bośnii piszą do *Bosnische Post* co następuje: Dnia 5. listopada patrol żandarmski, złożony z komendanta posterunku Segala i żandarma Obradowicza, przechodząc przez las w Tutujewaczu, natrafił na trzy niedźwiedzie, dwoje starych i piastuna. Mysie ujrzawszy tylko żandarmów, rzuciły się na nich z odległości nie większej, jak 20 kroków. Obradowicz nie stracił przytomności, złożył się, strzelił i położył niedźwiedzia na miejscu, strzelił i Segala, lecz strzał jego zgruchotał jedynie dolną szczękę niedźwiedzicy, która z wściekłością rzuciła się ku niemu. Zanim jednak doszła, powalił ją drugi strzał, dany niemal à *bout portant*. Piastun, widząc co się święci, umknął. Gdy tę niezwykłą zdobycz myśliwską przywieziono do Bieliny, wywołała ona zdziwienie niesłychane, gdyż najstarsi nawet mieszkańcy tej ani górzystej, ani zbyt leśnej okolicy nie pamiętają, aby tam kiedy niedźwiedzie zachodziły. Ubita para robiła szkody w okolicy, porywając tu i owdzie świnie i krowy.

Cztery ofiary niedźwiedzia. W pobliżu miasta Chisławice, powiatu mohylowskiego — jak o tem donosi *Kuryer Warsz.* — rozmnożyły się w ostatnich czasach nadmiernie wilki, mnóstwo sprawiając szkód okolicznej ludności. Postanowiono zatem urządzić na szkodników walną obławę. Zgromadzono w tym celu do 400 ludzi, uzbrojonych w znacznej części w widły i drągi, dla braku broni palnej.

W chwili największego ożywienia obławy, na jednego ze strzelców, p. Folewicza, wybiega... niedźwiedź. Tak grubego zwierza nie spodziewano się, fuzye więc były nabite grankulkami. P. F. wystrzelił, lecz spudłował. Drugi strzał był nieco celniejszy, niedźwiedzia jednak nie zwalił z nóg.

Zranione zwierzę rzuciło się z wściekłością na p. F., szarpiąc go i gryząc. Zbiegli się ludzie ku obronie nieszczęśliwego, nikt jednak nie miał strzelby. Bity drągami niedźwiedź, porzucił swą ofiarę i skoczył na obrońców p. Folewicza, nawpół już nieżywego.

Zanim przybyli strzelcy, rozjuszone zwierzę silnie pokaleczyło trzech włościan. Jeden z nich, Pud, jest bez nadziei życia. Folewicz zmarł tegoż dnia.

Wesoło rozpoczęta obława smutnie się zakończyła: na noszach odniesiono do Chisławic cztery ofiary niedźwiedzia...

Niedźwiedź zjadł niedźwiedzia, tak przynajmniej donosi pismom niemieckim nadleśniczy, Geschwind, z lasów bośniackich. W miejscowości Dolny Waków nastawił on był żelaza na niedźwiedzie i jeden z nich złapał się w nie. Na ryk niedźwiedzia przybył leśny, ale nie miał odwagi natrzeć na niego z siekierą w ręce, wrócił więc do wsi i pożyczył strzelbę. Gdy jednak następnego poranku wrócił do swej zdobyczy, znalazł już tylko połowę; inny wielki niedźwiedź, jak to wskazywały tropy, ubiegł leśnego i w nocy pożarł do połowy pochwyconego żelazami towarzysza.

Straszna walka między trzema lwami i jednym olbrzymim niedźwiedziem toczyła się d. 6. listopada w Korneuburgu, w miejscowej menażeryi. W niewytłumaczony dotąd sposób udało się trojgu lwom przedostać do klatki niedźwiedzia, z którym też natychmiast wszczęły zajadłą walkę. Niedźwiedź bronił się rozpaczliwie, ale uległ przed liczbą napastników. Gdy służba nadbiegła i przy pomocy żelaznych drągów rozdzieliła walczących, niedźwiedź jeszcze oddychał. Opatrzono troskliwie jego rany i obandażowano, mimo to zdechł nazajutrz, po całonocnej męce. Wypadek ten wydarzył się właśnie podczas licznego zgromadzenia publiczności. Nikt jednak nie korzystał z nadprogramowego widowiska i wszyscy uciekli w popłochu. Ryk walczących zwierząt słychać było prawie w całem miasteczku.

O kopalnych rogach jeleni donosi baron Hoenning-O'Carroll z Trenczyńskiego komitatu na Węgrzech. Przy sposobności poszukiwań archeologicznych i geologicznych natrafił on w pokładzie dyluwialnym pod dwumetrową warstwą ornej ziemi i pokładem gliny na 85 cm. wysokim około 300 rogów małych jeleni, co do których po dokładnem badaniu okazało się, że należą do ośmiu gatunków małego jelenia, który, sądząc i ze znalezionych czaszek, nie mógł być większym, niż dzisiejsze sarny, a najwyżej takim jak daniel. Znalezione okazy są rogami szpiczaków, widłaków i zupełnie już wykształconych samców. Największe z tych rogów nie mierzą więcej nad 40 centymetrów. W znalezionej kolekcyi są także ciekawe myłkusy. Między temi rogami jeleniemi były również rożki sarnie rozmaitego stopnia rozwoju, a prócz tego mnóstwo innych kości zwierząt ssących, kły, kości ptaków i t. d. O całem tem, wielce ciekawem wykopalisku, ogłosić ma bar. Hoenning-O'Carroll osobne dziełko z ilustracyami p. t. *Meine Strecke aus dem Löss.*

Psów do przenoszenia depesz telegraficznych używają w holenderskich koloniach w Indyi. Pomiędzy Kota-Kadya i Pakan-Kroesg-Tjoet, są stale utrzymywane psy, które, jeśli z jakiegokolwiek powodu linia telegraficzna zostanie przerwaną, przebiegają tam i nazad z uwiązanemi do szyi depeszami. Odległość między temi dwoma stacyami wynosi 6 kilometrów, a pies przebywa ją w 10 minutach, t. j. z szybkością 600 metrów na minutę.

Żarłoczność tygrysów, pomimo wszelkich środków zaradczych, jest jeszcze ciągle plagą wielu okolic w Indyach. Sprawozdanie jednego z gubernatorów wspomina o tygrysie, który w ostatnich trzech latach (1886 do 1888) zażarł 108 ludzi. Drugie zwierę, w innej okolicy, pożarło w tym czasie około 80 ludzi, a trzecie było powodem, że ludność wyniosła się zupełnie z 13 wiosek, i 250 mil kwadratowych angielskich stoi obecnie pustką. Inny znów tygrys pożarł w ciągu roku 127 osób i na parę tygodni przeciął wszelką komunikacyę między dwoma sąsiadującemi miasteczkami, nikt bowiem nie ośmielił się wychylić z domu. Gubernator Gilbert wspomina o tygrysicy w Nagpur, która okrąg 9 mil dwadratowych pustoszyła przez całe tygodnie, porywając ze szczególniejszem upodobaniem robotników, pracujących przy kolei Bengal-Nagpur. W pierwszem półroczu r. b. pozbawiła ona życia 9 ludzi, a kilkunastu innych poraniła straszliwie. W lutym porwała w jasny dzień jednego z robotników i to z pośrodka innych towarzyszów. Kilkakrotnie już do niej strzelano i robiono kompletne obławy, dotąd bezskutecznie. Inna wreszcie tygrysica szerzyła wielki postrach około Jaunsar, pod Himalayami. Jednej nocy porwała człowieka w Jaunsar, a drugiej innego w Nang-so, o 8 mil od poprzedniej miejscowości. Tygrysicę tę zabił ostatecznie jeden z urzędników angielskich.

Jazda na wielbłądzie. Do dr. Nachtigala, słynnego podróżnika niemieckiego, zgłosił się pewnego razu syn bogatego kupca hamburskiego, prosząc, aby Nachtigal odmalował mu w paru słowach podróż przez pustynię na wielbłądzie, którą młodzieniec wystawiał sobie w bardzo poetycznem świetle. Słynny podróżnik, nie namyślając się długo, skreślił mu wówczas następujący obraz: „Weź pan z kantoru swego papy stołek na śrubie podnoszony, t. zw. „koziołek“, podnieś śrubę z siedzeniem jak można najwyżej, ustaw ten stołek na wozie drabiniastym bez resorów, zajmij siedzenie na nim i każ się wieźć w lipcu lub sierpniu, w dzień pogodny, w samo południe, przez pole kartoflane, nie jedząc nic przedtem i nie pijąc przez 24 godzin — a będziesz mieć dosyć dobre pojęcie o tem, czego sobie życzysz...“

Bobry w Czechach. Jeszcze z końcem zeszłego wieku poczęto w dobrach ks. Szwarzenberga koło Krumowa w Czechach hodować sprowadzone tam bobry. Były one utrzymywane w basenach zamkniętych i ogrodzonych, a młode rozsyłano to do Wiednia, to do Pragi. Gdy jednak w r. 1804 więcej się ich rozmnożyło, spróbowano urządzić kolonię bobrową w odosobnionej partyi leśnej, mającej odpowiedni potok. W tym celu przeznaczono około 50 sążni kwadratowych na spokojnie rozlewającej się części potoka powyżej szluzy, ogrodzono ją silną dębową palisadą i wpuszczono do środka dwie pary bobrów. Dla utrzymania ich w miejscu, podawano im codziennie chleb i buraki, ale bobry wolały korę rosnącej wśród ogrodzenia wierzby i pilnie ją ogryzały; wreszcie zabrały się do palisady, i pomimo, że pale były silne, wkrótce się na wolność przegryzły.

Od tego czasu zaczęły się bobry mnożyć, a rozchodząc się po sąsiednich potokach, tworzyły coraz to nowe kolonie. Służyły im do tego szczególniej nadbrzeżne wierzby i osiki, które dopóty od strony potoka podgryzały, aż wreszcie cały pień runął do wody. Ponieważ na potoku i jego dopływach porobione są szluzy i rury upustowe dla zapobiegania zalewom, a względnie dla celów irrygacyjnych w czasie posuchy, które w danym razie zabierały koloniom bobrów potrzebną wodę, przeto bobry zatykały szlamem, kamieniami i zielskiem upustowe rury, a w stosownych miejscach, częstokroć w ciągu jednej tylko nocy, wznosiły wcale poważne tamy. Szkodziły tym sposobem nietylko irrygacyi, lecz wypowiadały także otwartą wojnę hodowli ryb. dla której woda z potoku była używaną. Wszystkie zaś swoje figle płatały w nocy, gdyż, jak wiadomo, tylko w nocy żerować zwykły.

W ciągu trzydziestu lat, korzystając z nakazanej surowo ochrony, mnożyły się owe kolonie bez końca, a zaczęły wyrządzać szkody większej doniosłości, już to osłabiając sztucznie wznoszone brzegi przez grzebanie w nich nor, już to podkopując się pod tamy, wznoszone znacznym kosztem i chroniące całą okolicę od gwałtownych zalewów. Pokazało się w końcu, że nie można im pozwolić rozmnażać się i gospodarować wedle upodobania; w r. 1883, wydanem też zostało przez dyrekcyę dóbr książęcych polecenie, aby bobry tępić, a nawet naznaczono nagrodę za ubicie bobra, należącego, jak wiadomo, do zwierzyny bardzo płochej i ostrożnej.

Żurawie w przelocie tegorocznym, jak o tem donosi pismo *Diana*, spadły pewnej nocy na plac św. Piotra w pośród miasta Bazylei, w Szwajcaryi, i tam odpoczywały. Biedne ptaki tak były zmęczone, że jednemu z przechodniów nocnych udało się gołemi rękami złapać żurawia. Umieścił go w tamtejszym ogrodzie zoologicznym.

Dzikie indyki, bronzowe, pochodzące z Ameryki, poczęto hodować w niektórych bażantarniach w Europie, jako zwierzynę łowną. Początek do tego dali hr. Breuner w Grafenegg nad Dunajem w Dolnej Austryi, ks. Metternich w Kojetynie na Morawie i bar. Waszyngton w Styryi. W Górnej Austryi, w Walsee, należącem do ks. Ernesta Sachsen-Coburg-Gotha, hodują także dzikie indyki amerykańskie. Rozmnożyły się one do tego stopnia, że już tego roku można było pięć sztuk odstrzelić. Na tem samem polowaniu padło nadto 6 rogaczy, 3 słonki, 1.217 bażantów, 234 zajęcy, 10 kuropatw, 1 dzika kaczka i i 8 sztuk drapieżców.

Koty i ptactwo śpiewające. Dr. Böcker z Saksonii ogłosił w jednem z pism niemieckich ciekawy artykuł o szkodliwości kotów, jako tępicieli ptactwa śpiewającego. Powiada on, że najzawziętsze chwytanie ptaków i sprzedawanie ich jako śpiewaków pokojowych, nie przyczynia się nawet w setnej części do ogołacania naszych pól i ogrodów z ptactwa śpiewającego tak, jak rabusiostwo kotów. Do przekonania tego

doszedł dr. Böcker na mocy własnych doświadczeń. Przed dziesięciu laty sprowadził się on do małej wioski i z zadziwieniem zobaczył, iż zarówno w jego ładnym ogrodzie, jak i w ogrodach sąsiadów, nie ma prawie zgoła śpiewającego ptactwa. Jedna para kosów i kilka dzwońców — oto wszystko, co gnieździło się w tych ogrodach; natomiast postrzegł mnóstwo poburzonych gniazd, a gdy wyraził sąsiadom swoje z tego powodu zdziwienie, otrzymał odpowiedź, iż ptactwo zatrzymuje się w tej okolicy na krótko i umyka prawdopodobnie z braku pożywienia. Dr. Böcker nie zadowolnił się tą odpowiedzią i codzień na wiosnę wychodził wczesnym rankiem z fuzyą do ogrodu i strzelał bez litości każdego kota, jaki się w ogrodzie pojawił. Ubił w ten sposób w ciągu roku 20 kotów. Nieprzyjemności, jakie miał w skutek tego z sąsiadami, nie należą do rzeczy; opłaciły mu się zresztą sowicie. Już bowiem w następnym roku miał w swoim ogrodzie kilka gniazd słowików, a sikorki, kosy i ziemby rozgospodarowały się na dobre. Proceder ten prowadził dr. Böcker przez lat kilka, ubijając rocznie po 15 sztuk kotów, schodzących się do tego gaju ptasiego z sąsiednich wiosek. Wreszcie kazał porobić w murze odpowiednie dziury i pozastawiał przed każdą z nich sidła, w które wciskający się kot chwytał się nieuchronnie i następnie bez litości był mordowany.

„Obecnie — kończy dr. Böcker — mam w moim ogródku 3 pary słowików, 2 pary gajówek, 12 par pliszek, 25 par żółtych dzwońców, 35 par szarych dzwońców, 15 par kosów, 16 par zięb itd., razem 102 par wybornych śpiewaków.“ Na przyszły rok spodziewa się dr. Böcker podwojenia swego ptactwa i kończy ten artykuł, usprawiedliwiając swoje okrucieństwo względem kociego rodzaju tak: „Kot, jako zwierze domowe, chwytając myszy, niech sobie żyje; ale gdy zaczyna myszkować po polach i ogrodach, staje się rabusiem i powinien być tępiony bez litości.“

Towarzystwo rybackie w Krakowie otrzymało w darze od swego członka p. Marcinka, hodowcy ryb na Szlązku, 3.000 sztuk narybku jednorocznego karpi i tyleż szczupaków. Dnia 11. listopada prof. Nowicki w obecności prezydenta dr. Szlachtowskiego, dr. Walentowicza i p. Korneckiego, wpuścił ten narybek do Wisły pod Zamkiem, w miejscu dawnego przewozu.

Berlińskie aquarium posiada od pewnego czasu wśród swoich okazów żywe śledzie. Do niedawna mniemano, że ryba ta nie da się utrzymać w zamknięciu i wszelkie usiłowania w tym kierunku stale się niepowodziły. Śledź bowiem bardzo łatwo, przy lada dotknięciu, traci łuskę i musi potem ginąć bez ratunku. Dopiero gdy przy chwytaniu i transporcie tych ryb zachowano wszelkie możliwe ostrożności, udało się 20 sztuk żywych śledzi zaaklimatyzować. Woda, w której przebywają, jest chemicznie preparowaną „wodą morską“. Śledzie żywe mienią się podobno wszystkiemi kolorami tęczy i wyglądają zachwycająco.

Połów wielorybów. U wybrzeży szkockich wysp Orkneyskich, flotyla rybacka napotkała w ostatnich dniach listopada istne stado wielorybów, złożone ze 180 do 200 sztuk; kilka z tych potworów morskich ubili rybacy.

Wiek mrówek. Niestrudzony badacz życia mrówek, sir John Lubbock, wsławiony wieloma już w tym przedmiocie odkryciami, posiada w swojej pracowni dwie mrówki pospolitego gatunku, które mają już po siedm lat. Nadto hoduje on jeszcze dwie samiczki z gatunku bronzowej mrówki *(Formica fusca)*, które dostały się doń jako zupełnie już wykształcone okazy, mogą więc obecnie liczyć około 12 lat żywota. Lubbock utrzymuje, że na obu zwierzątkach okazują się już symptomaty późnego wieku, mianowicie pewna sztywność członków i większa niż dawniej ociężałość. Obie jednak są jeszcze dość czerstwe i składają ciągle zdolne do rozwoju jajeczka. Lubbock posiada kompletną mrówczarnię, w której całe dnie przepędza na studyach i obserwacyach.

Spis rzeczy do kończącego się z niniejszym numemem rocznika „Łowca“ za r. 1889., dołączony będzie do numeru styczniowego z r. 1890.

ŁUSKI NABOJOWE
we wszystkich systemach, gatunkach i kalibrach.
ŚRÓT TWARDY.

PATRONY REWOLWEROWE
i do flobertów, angielskie belgijskie i francuskie.
KULE i LOFTKI.

C. i K. SPRZEDAŻ WSZELKICH GATUNKÓW PROCHU.

Polecam:
BROŃ
myśliwską:
POJEDYNKI i DUBELTÓWKI
Lancaster, Lefoucheux
i kapslowe.

Iglicówski Teschnera
i
Dreysego.

HAMMERLESS
DIANA.

Trzylufki
(DRILLINGI)

NOWOŚĆ:
Czterolufki
do śrótu i kul.

Sztuce EXPRESS

REPETIERY
amerykańskie i angielskie
COLTA. WINCHESTER i MARLIN & BALLARD.

Repetiery do śrótu.

SZTUĆCE TARCZOWE.

Karabinki i pistolety tarczowe.

WIATRÓWKi i ŁUKI.

REWOLWERY
we wszystkich systemach.

Masa nowości!

P. T.

Niniejszem mam zaszczyt donieść Szanow. P. T Publiczności, iż z d. 10. Grudnia 1889. otwieram

we Lwowie, pl. Katedralny l. 3.

pod własną firmą:

STEFAN PIELECKI,

koncesyonowany przez Wys. c. k. Namiestnictwo

CENTRALNY HANDEL BRONI I AMUNICYI,

przyborów do polowania, rybołowstwa, szermierki, gimnastyki, konnej jazdy i podróży, oraz części uniformowych dla pp. oficerów, urzędników i straży skarbowych, perfumeryi, artykułów toaletowych, jako też ogni sztucznych.

Długoletnia praktyka w kraju i zagranicą, oraz wystarczające środki pieniężne, dają mi możność zawiązania stosunków handlowych z pierwszorzędnemi firmami w świecie, od których sprowadzając powyżej wymienione artykuły w większej ilości i tylko za gotówkę, jestem wstanie znaczne korzyści, przez niską cenę i doborowy towar Szanownym moim odbiorcom zapewnić, a przez to samo gotów jestem oprzeć się wszelkiej konkurencyi.

Licząc na łaskawe względy i poparcie Sz. P. T. Publiczności, kreślę się

z głębokim szacunkiem

Stefan Pielecki.

Polecam:
KASETY

FUTERAŁY
NA STRZELBY i REWOLWERY.

Pasy do strzelb.

TORBY
myśliwskie, pasy na patrony, siatki.

KORDELASY.
NOŻE MYŚLIWSKIE.

Pałasze i szpady.

Manierki.

PRZYRZĄDY
do napełniania patronów, wszelkie możliwe maszynki i rekwizyta dla myśliwych.

Kuchenki polowe.

Latarki składane.

OBROŻE,
harapy i sfory na psy.

Trąbki z maszynkami i bez, świstawki

Wabiki.

Magazyny na patrony.

Tłuszcz do broni i obuwia, kapelusze i czapki myśliwskie, kaftaniki i kamizelki, baszliki itp.

Buty
filcowe, białe, bronzowe i czarne.

Każdą broń używaną

kupuję za gotówkę, biorę w komis i mieniam za nową.

Przyjmuję wszelkie roboty

wchodzące w zakres rusznikarstwa, za które liczę ceny czysto fabryczne.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: Władysław Zontak, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie